

# GILLETTE & L'ORÉAL, WOMEN USA

Alabama • Alaska • Arizona • Arkansas • California  
Colorado • Connecticut • Delaware



# GILLETTE & L'ORÉAL, WOMEN USA — VOL. I

L'ORÉAL THROUGH GILLETTE · 00

---

*Pierwszy etap amerykańskiej podróży: Alaska, Arizona, Arkansas, Kalifornia, Kolorado, Connecticut, Delaware. Otwiera go Rozdział Zero, arktyczny prolog wspólny dla wszystkich sześciu tomów serii.*

## **Rozdział Zero — wspólne otwarcie**

*Ten rozdział otwierający jest wspólny dla wszystkich sześciu tomów serii Women of the United States. Zamieszczamy go tu w całości, w zwiniętej formie, aby serię można było czytać po kolei bez powtórzeń.*

## **ROZDZIAŁ ZERO**

Tutaj świat nie jest terytorium: jest granicą. Biegun Północny nie wita, nie wybacz, nie zostawia miejsca na błąd. Biał panuje jak byt absolutny, cichy i bez pamięci. Temperatura nie jest daną meteorologiczną: jest drapieżnikiem. Noc trwa miesiącami, miazdzy myśli, zniekształca kontury ludzi, połyka ich wolę.

Spółeczności są nieliczne, małe i zamknięte. Inuici, Jupikowie, ludy Arktyki żyją tam, gdzie nikt nie wybrałby, żeby zostać. Tutaj każdy człowiek jest niezbędny do przetrwania grupy. Jeśli nie jesteś użyteczny, stajesz się ciężarem. A ci, którzy stają się ciężarem, znikają w ciszy, w śniegu, w logice środowiska, które nie idzie na żadne ustępstwa.

Bazy naukowe dodają inny rodzaj chłodu: chłód hierarchii. Tutaj kobieta jest rzadką obecnością, anomalią, która musi się przystosować albo ulec.

W tym miejscu pojęcie „zniknięcia” nie istnieje. Jest tylko biel, która wymazuje wszystko.

### ***Kobiety Inuitów i Jupików***

Arktyczna dziewczyna nie jest rozpieszczana: jest przygotowywana. Wcześniej uczy się znosić zimno, ciemność i głód. Musi stać się użyteczna dla klanu, bo tutaj tożsamość nie jest osobista. Jest funkcjonalna. Kobieta dźwiga ciężar rodziny i wspólnoty: jedzenie, ogień, dzieci, skóry, opiekę. Nikt nie mówi o prawach. Nikt nie mówi o kruchości. Depresja istnieje, ale nie ma imienia. Przemoc istnieje, ale nie ma świadków.

### ***Kobieta z baz naukowych***

Wykształcona, kompetentna, przyzwyczajona do dyscypliny. Przyjeżdża jako badaczka, technik, lekarka. Szybko odkrywa, że Biegun Północny nie uznaje kwalifikacji. Tutaj liczy się tylko odporność psychiczna. Dominują nad nią męskie hierarchie, a każdy przejaw słabości odczytuje się jako słabość. To środowisko, w którym siła nie wystarcza: potrzebna jest skrajna samokontrola.

### ***Zachodnia kobieta „z zewnątrz”***

Wychowana w wolności, przyjeżdża przekonana, że pokona zimno. Ale to miejsce ją łamie: samotność, ciasne przestrzenie, niekończące się milczenie. Bazy nie są wspólnotami, są mechanizmami. A kobieta wewnątrz mechanizmu zaprojektowanego przez mężczyzn musi walczyć, żeby nie zniknąć.

## ***Podróż na skraj świata***

Mój sąsiad Antonio, zwany Nino, od lat opowiadał o Przylądku Północnym, o słońcu o północy, o miesiącach bez ciemności. Było to marzenie, które nosił w kieszeni, jak coś niemożliwego.

Pewnego majowego ranka zadzwoniłem do jego drzwi i powiedziałem tylko tyle: „Spakuj walizkę. Wrócę za godzinę. Wrócimy za 30 dni”. Spojrzał na mnie zaskoczony, szczęśliwy. Jego żona, zaniepokojona, zapytała, jakie mamy plany. „Gonić marzenie” – odpowiedziałem.

Wsiedliśmy do samochodu. Nasze żony patrzyły na nas jak na wariatów. Ale ta podróż była prawdziwa. Nino już był pełen pytań. „Dokąd jedziemy? Ile pieniędzy mam wziąć?” „Spokojnie – powiedziałem mu. – Będziemy na miejscu za 54 godziny. Tylko 5000 km. Jedziemy nowym Range Roverem. Ciesz się jazdą”.

Co 300 km musiałem się zatrzymywać: on, dwanaście lat starszy ode mnie, miał swój rytm. Ja miałem wodę i napoje; on miał kawę i potrzeby fizjologiczne. A im dalej jechaliśmy, tym więcej opowiadał o swoim życiu. Rzeczy, których nigdy bym się nie dowiedział, gdyby nie ta niekończąca się droga.

Dwóch mężczyzn samych w samochodzie, zawsze rozmawiających o kobietach. On znał tylko swoją żonę. Śmiałem się. Uspokoilem go: „My wszyscy jesteśmy tacy sami”.

Zapytał mnie, jak udaje mi się zachować zdrowe zmysły, prowadząc przez 60 godzin. Opowiedziałem mu o Rosji, kiedy w wieku 22 lat jechałem 51 godzin, żeby spotkać kobietę, której nigdy nie widziałem. „Odległości to nie granice – powiedziałem mu. – To wymówki. Ja nigdy żadnych nie miałem”.

## ***Przybycie w biel***

Wjechaliśmy do Norwegii. Schronisko przy drodze. Mieliśmy tam zostawić samochód i jechać dalej saniami.

Przewodnik był opatulony, nieprzenikniony. Kiedy zdjął gogle, odkryłem, że to kobieta. Norweżka, milcząca, bezpośrednia, lodowata. Nino na środku sań, ona z przodu, ja ze swoimi 190 cm z tyłu, zamykając kolumnę.

Wciąż było jasno. Zegarek pokazywał godzinę, ale nie mówił mi, czy jest noc, czy ranek. Było słońce o północy. Dotarliśmy na Przylądek Północny.

Nino płakał. Objął mnie. Powiedziałem mu ze śmiechem: „Uważaj... ludzie pomyślą, że jesteście gejami”. Śmialiśmy się, ale byliśmy na skraju świata.

Potem przyszedł mróz:  $-5^{\circ}\text{C}$ .

## ***Wejście do prawdziwej Arktyki***

Zaprowadzili nas do metalowego kontenera, żebyśmy się przebrali. Niezwykle ciężkie, ocieplane kombinezony, zapinane na skomplikowane zamki.

Zapłaciłem przewodniczce. Nino został w igloo z kilkoma mężczyznami; mnie zostawiono w innym, z rodziną: starszym mężczyzną, między 70 a 80 rokiem życia, i trzema kobietami między 30 a 50.

Był to świat zamknięty. Prostý. Brutalny.

Mężczyzna trzymał się z boku. Kobiety nadawały rytm. A łazienką był pagórek pięć metrów od igloo: kupa zamarzała, zanim dotknęła ziemi. Moje pierwsze siku stało się żółtą arktyczną gwiazdą. To Północ mnie witała.

Kobieta w średnim wieku, Magi, mówiła trochę po angielsku. Reszta to były gesty, oczy, ręce. Język zimna.

Kiedy nie byłem pewien, jak używać kombinezonu, ona bez namysłu dotknęła mojego krocza, żeby pokazać mi ukryty zamek. Nie było w tym złośliwości ani zażenowania: tylko funkcja. Przetrawianie.

### ***Trzy dni w igloo***

Przyniosły jedzenie. Wędzoną rybę, surową rybę, wątrobę dorsza, brzuch wieloryba. I kulki z rekina. Nie było wyboru. Nie było alternatywy. Było to, co daje natura.

Potem się napiłem: czerwonego płynu. Myślałem, że to wino. Była to przefiltrowana, przegotowana, osłodzona krew wieloryba. Wypiłem ją. Dała mi siłę, jakiej nigdy wcześniej nie czułem. Pierwotną energię. Myślałem, że to kokaina. Nie. To Północ wchodziła w ciało.

Kobiety mnie obserwowały. Starzec wychodził na polowanie. Ja odpoczywałem i piłem krew. Trzy dni bez telefonu, internetu, komputera, bez Nina. Tylko ja i one.

Nie było nocy. Tylko światło, ogień, lód i oddech.

Trzy kobiety położyły się spać. Szukałem miejsca. Najmłodsza podniosła rękę i dała mi znak, żebym podszedł bliżej. Wybuchnęły śmiechem. Nie rozumiałem. Powiedziały, że jestem ich „Bożym Narodzeniem”.

Sposób, żeby powiedzieć, że zostałem przyjęty.

Próbowałem dać im trochę pieniędzy, żeby podziękować. Odmówiły. Chciały tylko uścisku. I kilku słów po kalabryjsku, żeby poczuć się bliżej.

Tam zrozumiałem wartość prawdziwych darów: tych, których nie można kupić ani sprzedać.

### ***Pożegnanie przewodniczki***

Po trzech dniach przyjechała przewodniczka. Rozmawiała z trzema kobietami przez godzinę. Ja byłem na zewnątrz. Nie rozumiałem, co mówią. To nie była moja sprawa. To był ich język, ich świat, ich prawo.

W kontenerze, kiedy się rozbierałem, weszła przewodniczka. Ciekawa. Bezpośrednia. Nordycka. Mocno mnie objęła. Pocałowała mnie. Jej skóra była biała jak mleko. Jej oczy były niebieskie jak sierpniowe niebo.

Poprosiła, żebym ją zabrał. Zrobiłaby wszystko, żeby wyrwać się z tego świata.

Uśmiechnąłem się z szacunkiem. Nie mogłem. Nie powinienem był.

Zostawiłem jej tylko jedną obietnicę: „Jeśli będziesz czegoś potrzebować, napisz do mnie list. Pomogę ci”. Odmówiła nawet pieniędzy. Była piękną kobietą, ale samotną. Samotnością, której nie widać z daleka. Samotnością, której zimno nie wybacza.

### ***Powrót do domu***

Pojechaliśmy po Nina. Był zachwycony. Nie chciał wracać. Ale ja byłem umówiony z jego żoną.

Wszystkim opowiadał o swoich trzech dniach. Ja milczałem. Nigdy niczym nie dzieliłem się z mężczyzną. Tylko z papierem.

I tak, kiedy Nino wracał do swojego świata, ja byłem już w drodze do innego. Inny cel. Inne spotkanie.

Witaj.

Epilog

### ***Północ cię nie zabiera: ona cię zmienia. I nigdy***

nie oddaje cię w całości. Mężczyźni przyjeżdżają na Biegun Północny w poszukiwaniu światła, ciszy, zdjęć, marzeń. Kobiety zostają, żeby przetrwać.

Mężczyźni opowiadają, co widzieli. Kobiety milczą o tym, co przeżyły.

Mężczyźni wracają. Kobiety zostają. Zostają w zimnie, w domach ze śniegu, w milczeniu, którego nikt nie słyszy. Zostają, żeby podtrzymywać wspólnoty, które ich nie celebrują. Zostają, żeby chronić dzieci, starszych, obcych. Pozostają niewidzialne.

Zabrałem stamtąd tylko jedno wspomnienie: piękną, niewiarygodnie piękną kobietę, ale samotną. Nie w sensie romantycznym. W sensie ludzkim. W sensie tragicznym.

### ***Refleksja***

Północ nie zabija ciała. Zabija obecność. A to, co zostaje, jest bielą: miejscem, gdzie kobiety jednocześnie żyją i znikają.

Dlatego piszę. Bo miejsca skrajne nie opowiadają własnej historii. A ci, którzy przez nie przechodzą, nie mogą sobie pozwolić na luksus milczenia.

Nie ja. Nie ja. Moja ziemia mnie zrodziła, a reszta świata przyjmuje mnie nie jak gościa, ale jak członka rodziny.

Z absolutnej bieli Północy zszedłem w absolutny chaos Stanów Zjednoczonych.

## STANY ZJEDNOCZONE AMERYKI

### *Niemożliwe zadanie*

Osiemnaście lat pracy dla amerykańskiej firmy daje ci coś, czego nie da ci żadna inna firma na świecie: kulturę pracy, procedury, jasną misję i system wartości, które nie są teorią – są codzienną praktyką. Nie tłumaczą ci ich; budują je dla ciebie. I robią to, nie pytając cię o pozwolenie.

Byłem w biurze w Nowym Jorku, kiedy zaproponowano mi pracę, jakiej nigdy sobie nie wyobrażałem. Nie awans. Nie przeniesienie. Eksperyment.

Poufny program, stworzony po to, by zweryfikować model relacji międzyludzkich w Stanach Zjednoczonych. Nie wybrali menedżerów, psychologów ani trenerów. Wybrali ludzi z pewnym rodzajem doświadczenia z prawdziwego świata. I padło moje nazwisko – choć od osiemnastu lat pracowałem w sprzedaży. Nie patrzyli na stanowisko: patrzyli na umysł.

Test był prosty do wyjaśnienia i niezwykle trudny do wykonania:

odwiedzić 50 amerykańskich stanów w ciągu jednego roku, samemu wybierając miasta i zostając w każdym co najmniej tydzień.

Ostatnie dwa tygodnie miały być przymusowym urlopem. Pokrywali wszystkie wydatki. Ja miałem tylko żyć, obserwować, rozumieć i co poniedziałek oddawać raport. Ludzką, suchą, precyzyjną relację.

Podpisałem umowę. Zawiadomiłem dom. O nic nie pytali. Chcieli tylko wiedzieć, czy przyszły miesięczne zapasy. Ja miałem przed

sobą rok w Ameryce. Oni, jak zawsze, mieli przed sobą następny miesiąc.

Dla bezpieczeństwa moja pensja wpływała bezpośrednio na moje konto bankowe we Włoszech. Był to grzeczny sposób, żeby mi powiedzieć: „Nie rób głupstw. Żyj z tego, co masz. Zobaczmy, kim naprawdę jesteś”.

Dopiero piętnaście lat później uzyskałem dostęp do moich oryginalnych raportów, do analiz i do materiałów, które o mnie zebrali. Z tego narodziła się ta książka. Dostałem zgodę na jej publikację pod jednym warunkiem: nigdy nie wymieniać firmy, która ją zleciła.

To nie ma znaczenia. Ta historia nie jest o logo. Jest o mężczyźnie w kraju, którego nie da się zrozumieć, jeśli się go nie przeżyje na własnej skórze.

### ***Czy zacząć od najdalszego punktu?***

Logicznym wyborem było zacząć od krańców, nie od środka. Z dwóch prostych powodów:

1. Byłem świeżo po eksperymencie: wysoka jasność umysłu, maksymalna uwaga.
2. Zaczynając od skrajności, mogłem skorygować kurs i czysto zakończyć podróż.

Nie musiałem zaczynać w Bostonie ani w Chicago. Musiałem zacząć od granicy. Od miejsca, które było Ameryką tylko na papierze.

Wybrałem Juneau, stolicę Alaski. Odizolowane. Dostępne tylko statkiem albo samolotem. Miasto, które nie należy do nikogo. Idealne miejsce na początek.

## ***Optymalizacja zasobów***

Przed wyjazdem zrobiłem to, co Amerykanin szanuje przede wszystkim: zorganizowałem się jak profesjonalista, nie jak turysta.

Zadzwoiłem do trzech najpopularniejszych linii lotniczych, tych z największą siecią krajową. W niecałą godzinę kupiłem karnet na pięćdziesiąt lotów krajowych z 60% zniżką.

Bez limitu czasu. Bez limitu dni. Bez ograniczeń. Tylko jeden warunek: wykorzystać je w ciągu roku.

To samo zrobiłem z sieciami hoteli, Uber Taxi i wypożyczalnią samochodów, a potem przygotowałem porządną harmonogram etapów, sposobów, ale nie terminów.

Byłem gotowy.

To był mój pierwszy prawdziwy sukces. Pierwszy znak, że umiem się poruszać. Ameryka nagradza tych, którzy działają, nie tych, którzy czekają.

Kiedy firma zobaczyła transakcję, zrobiła to, co zawsze robi amerykańska kultura: sprawdziła wiarygodność.

Czy byłem w stanie poradzić sobie z rokiem ciągłego przemieszczania się? Czy umiałem radzić sobie z nieprzewidzianymi zdarzeniami, odległościami i sytuacjami awaryjnymi? Czy byłem samodzielny?

Dlatego przed wyjazdem załatwiłem jeszcze jeden kluczowy szczegół:

upewniłem się, że mam na karcie kredytowej miesięczny limit co najmniej 100 000 dolarów.

Nie był po to, żeby go wydać. Był po to, żeby pokazać, że potrafimy nim zarządzać. Amerykanie myślą tak: jeśli nie masz samodzielności, nie masz wolności. A jeśli nie masz wolności, nie można cię ocenić.

Od tej chwili program nie był już zadaniem. Był misją.

## **A TERAZ NAPRAWDĘ PODRÓŻUJEMY**

Alaska należy do Stanów Zjednoczonych tylko geograficznie. To inny świat.

To miejsce, gdzie kobiety znikają bez śladu. Gdzie skarga nigdy nie dociera do celu. Gdzie miasta są tylko cywilizowanymi wyspami pośrodku dzikiego kontynentu.

Juneau było moim pierwszym sprawdzianem: stolica bez dróg łączących ją z resztą kraju. Kawalek Ameryki, który nie wygląda na Amerykę.

Tutaj zacząłem coś rozumieć: ta podróż nie będzie geograficzna. Będzie ludzka.

### ***BLOK 1 (Tom I)***

Alabama – Alaska – Arizona – Arkansas – Kalifornia – Kolorado – Connecticut – Delaware – Floryda – Georgia

### ***BLOK 2 (Tom II)***

Hawaje – Idaho – Illinois – Indiana – Iowa – Kansas – Kentucky – Luizjana – Maine – Maryland

### ***BLOK 3 (Tom III)***

Massachusetts – Michigan – Minnesota – Missisipi – Missouri – Montana – Nebraska – Nevada – New Hampshire – New Jersey –

Nowy Meksyk

### ***BLOK 4 (Tom IV)***

Nowy Jork – Waszyngton

### ***BLOK 5 (Tom V)***

Karolina Północna – Dakota Północna – Ohio – Oklahoma –  
Oregon – Pensylwania – Rhode Island – Karolina Południowa

### ***BLOK 6 (Tom VI)***

Dakota Południowa – Tennessee – Teksas – Utah – Vermont –  
Wirginia – Wirginia Zachodnia – Wisconsin – Wyoming  
ALABAMA Alabama to nie tylko Południe Stanów Zjednoczonych.  
To kawałek historii, który nigdy nie stygnie. Tutaj niewolnictwo  
nie jest rozdziałem: jest cieniem. Segregacja nie jest  
wspomnieniem: jest blizną. Wiara nie jest pocieszeniem: jest  
kontrolą. W tym stanie wszystko waży. Waży upał. Waży rodzina.  
Tradycja waży bardziej niż cokolwiek. Religia zaciska się jak pas  
wokół gardła. Społeczności obserwują, osądzają, pamiętają. Nic nie  
zostaje naprawdę zapomniane. Nic nie zostaje naprawdę  
wybaczone. A pośród tego wszystkiego są kobiety. Kobiety, które  
prowadzą całe domy, choć nikt ich nie wymienia z imienia.  
Kobiety, które pracują na trzy zmiany i wstają o świcie, żeby  
przygotować dzieci. Kobiety, które w niedzielę modlą się w  
kościół, a w poniedziałek drżą w milczeniu. Kobiety, których  
mężowie są wyczerpani pracą albo których mężczyźni nic nie robią.  
Kobiety, które tego samego dnia stają się matkami, córkami,  
babciami i filarami życia.

Życie kobiet z Alabamy to nieustanne wahadło:

– są takie, które wcześniej wychodzą z domu, żeby wyjść za mąż,  
uciec, zbyt szybko dorosnąć

– są takie, które wracają z powodu rozwodu, utraconej pracy,  
przemilczanej przemocy

To kobiety wykute. Nie kruche. Nie buntowniczkki. Nie ofiary.

Wykute.

Ich opór jest cichy, ale absolutny. To siła tych, które nie mogą się  
rozsypać, bo nikt by ich nie podniósł.

### ***Kelnerka z przydrożnego baru***

Pachniało kawą i smażonym jedzeniem. I od razu przypomniałem  
sobie regułę, która obowiązuje wszędzie: im biedniej wygląda  
miejsce, tym lepsze jedzenie. Tych prawd nauczyłem się w drodze.  
I nigdy mnie nie zawiodły.

### ***Miała na imię Carol.***

Blondynka – naturalna, a może nie – zniszczone dłonie, szybki  
uśmiech, zgaszone oczy. Obsługiwała wszystkich z tym samym  
zmęczonym wdziękiem. I nikt tak naprawdę na nią nie patrzył.

Ja tak. Kiedy widzę anioła przy pracy, nie mogę się powstrzymać,  
żeby się nie przywitać i nie podarować jej uśmiechu. To najmniej,  
co mogę zrobić. Zaprowadziła mnie do stolika. „Co chcesz zjeść?” –  
zapytała. Gdybyśmy byli we Włoszech, powiedziałbym swoją  
prawdę. Spróbowałem i tak:

### ***„Chcę ciebie”.***

Spojrzała na mnie bez wyrazu. Albo udawała, że nie rozumie – jak  
niektórzy tubylcy, którzy, kiedy rozumieją wszystko, mówią, że nic  
nie zrozumieli. Powtarzanie nie miało sensu. Wtedy zamówiłem:

Hot doga. Piwo. I czarną amerykańską kawę, z deserem.

Wzbudziłem jej ciekawość. Widziałem to po jej ruchach. Wróciła po kilku minutach: „Moja zmiana kończy się za dziesięć minut... mogę usiąść?”

Zgodziłem się.

Usiadła z zgarbionymi plecami, jak ktoś, kto nigdy nie odpoczywa. Spojrzała mi w oczy i powiedziała bez dramatyzmu:

„Jestem zmuszona do tej pracy. Mój mąż zginął w Iraku. Nie mam dzieci ani krewnych. A ulica... to nie jest praca dla mnie”.

Nie odpowiedziałem. Czasem słowo jest obelgą. Wziąłem ją za rękę. Mocny uścisk. Suchy, czysty gest.

### ***A w jej dłoni zostawiłem sto dolarów.***

Wstałem. Wyszedłem. Nie oglądając się za siebie. Ale przez szybę ją widziałem. Zerwała się na równe nogi, jakby zaskoczona, jakby zraniona, jakby wdzięczna. Jąkała coś, co nie mogło się przedostać.

I właśnie tam zrozumiałem prawdę o życiu Carol:

ona nigdy nie siada.

### ***Śpiewaczka gospel***

Była niedziela jak każda inna. Poczułem potrzebę dotknięcia swojej duchowej strony, a w Alabamie to znaczy pójść do kościoła. Tam wiara nie jest religią: jest sceną.

Pastor kończył kazanie, kiedy wszedłem głównymi drzwiami, otwartymi na oścież z powodu upału. Nie wybrałem bocznego wejścia. Chciałem, żeby moje przybycie zauważyła ta mała wspólnota.

Zobaczył mnie i powiedział głośno: „Witaj, nieznajomy”.  
Odpowiedziałem: „Witaj i ty”.

Usiadłem. Organy zaczęły drgać: wysoki, znajomy dźwięk, ten „amerykański duch”, który przypomina mi Arethę Franklin, nawet kiedy nikt nie jest sławny. I wtedy weszła ona.

Jej głos nie śpiewał: wyrywał się na wolność.

Była Afroamerykanką, nie z tych, które przechodzą niezauważone, ale z tych, które los stawia przed tobą tylko raz, żeby przypomnieć ci, co potrafi człowiek, kiedy życie go miażdży. Jej głos był ogromny. Jej życie było małe. Śpiewała w niedziele, żeby oddychać. Przez cały tydzień milczała, żeby przetrwać.

Kiedy się skończyło, ludzie wstali do wyjścia, jakby nic się nie stało. Podszedłem. Była zaskoczona: nikt tam nie dziękował śpiewaczce gospel. To jak dziękować powietrzu: wszyscy uważają je za oczywiste.

Uścisnąłem jej dłoń. Dałem małą miseczkę, taką, jaką zarezerwowano dla szlachetnych kobiet. Bo miała wszystko albo prawie wszystko. Brakowało jej tylko mnie. I przez minutę byłem tam.

„Kim jesteś?” – zapytała. Odpowiedziałem: „Jestem jednym z aniołów, które zeszyły z sufitu tylko dla ciebie. I dzięki tobie zostaję dziś człowiekiem. Nigdy już nie wrócę”.

Uśmiechnęła się. Dobry znak. Niczego nie sprzedawałem. Niczego nie szukałem. Chłonałem. Jak zawsze.

Jej ciekawość miała już wybuchnąć pytaniem, ale ja kierowałem się już do wyjścia. I wtedy to się stało.

Jej głos mnie zawołał: „Proszę pana! Proszę pana! Nieznajomy!”  
Głośny krzyk, pełen powietrza i czegoś, co nie było bólem.

Nie odwróciłem się. Umieć odróżnić wołanie o pomoc od wołania „dlaczego”. To było „dlaczego”. I nie potrzebowało odpowiedzi.  
Mój dar został u jej stóp. To był mój znak. O reszcie swojego życia, któremu nikt nigdy nie klaskał, napisze ona sama.

## ***Studentka***

Żyła wśród książek i subtelnej dyskryminacji. Siedziałem przed kampusem, czekając na byłą koleżankę z pracy, która została tam wykładowczynią. Kampus był pełen młodych ludzi, którzy biegali, śmiali się, udawali, że nikt ich nie obserwuje. Nie ona. Ona patrzyła.

Kiedy przyszła moja była koleżanka, mocno mnie objęła.  
Studentka widziała tę scenę. Nie odwróciła wzroku. A ja, oddając uścisk, patrzyłem na nią. Tylko na nią.

Wykładowczyni musiała pędzić do innych obowiązków. Zostawiła mnie na środku dziedzińca z szybkim pożegnaniem i nostalgiczną miną. Poszedłem usiąść na brzegu fontanny, obok studentki.  
Uśmiechnęła się. Jednym z tych uśmiechów, które nie są ani zaproszeniem, ani obroną: są prawdą.

„Jakie masz marzenia?” – zapytałem ją. „Jesteś młoda, inteligentna... i cholernie piękna”.

Nie zarumieniała się. Nie napuszyła. Odpowiedziała krótko, jak ktoś, kto nauczył się żyć z rzeczywistością:

***„Marzę o ucieczce z Południa.”***

Ale Południe idzie za mną wszędzie”.

Pokiwałem głową. „Wiesz, skąd jestem?” Pokręciła głową. „Z Południowych Włoch”. Zamilkła na sekundę. Potem się roześmiała. Krótkim śmiechem, takim, który otwiera okno na ten ciężar.

Rozmawialiśmy niewiele. Ale to wystarczyło.

„Urodziliśmy się, żeby zмагаć się z tożsamością, przeszłością i oczekiwaniami – powiedziałem jej. – Zawsze prosimy innych, żeby się zmienili, ale prawdziwa zmiana zaczyna się w nas samych”.

Była młoda. Ale ciężar, który niosła, młody nie był. I niosła go z godnością.

Zanim odszedłem, chciałem zostawić jej coś, co nie byłoby ani przemową, ani obietnicą. Tylko prawdę.

***„Pamiętaj, kochanie:***

Południe jest dla Północy tym, czym kobieta dla mężczyzny”.

Spojrzała na mnie. Zrozumiała. Nic więcej nie było potrzebne.

Wstałem. „Cześć. I powodzenia”.

Nie odpowiedziała. Tylko się uśmiechnęła. A ten uśmiech miał w sobie więcej przyszłości niż cały kampus.

### ***Kobieta z nowoczesnej plantacji***

Byłem umówiony z prezesem stanowej Izby Handlowej. Wcześniej pełniłem we Włoszech funkcję radnego, a pewne mechanizmy instytucjonalne, gdy tylko się je znów zobaczy, od razu wracają do głowy. Był wysoki, szczupły i elegancki. Złoty zegarek. Delikatny zapach starego bogactwa. Takiego, którym się nie popisuje: nosi się je. Bo bogaci tutaj nie pachną pieniędzmi. Pachną wszystkim.

Był dumny ze swojego stanu. Zbyt dumny. Przekonany, że gospodarka Alabamy utrzymuje cały naród, postanowił mi to udowodnić, zabierając mnie na plantację bawełny. Najpierw ziemia. Potem przetwórstwo. Potem nowoczesny przemysł rolny, ten, który zdjął kajdany, ale zostawił te same rytmy.

I tam ją zobaczyłem.

Słońce paliło jej plecy. Jej ruchy były strasznie powolne, precyzyjne, bez jednej skargi. Była kobietą w pełni dorosłego wieku, z twarzą, która wydawała się wyrzeźbiona przez zmęczenie. Rodzina na jej barkach. Jej skóra była poorana. Jej oczy były twarde. Tempo kogoś, kto nigdy nie pozwala sobie na błąd, przenigdy.

Zapytałem prezesa, czy mogę porozmawiać z pracownikami. Chciałem „lepiej zrozumieć” – powiedziałem. Wymówka. Chciałem po prostu porozmawiać z nią.

Podszedłem. Uklękła i pocałowała mnie w rękę. Gest prastary, nie na miejscu, nie na czasie. Natychmiast ją powstrzymałem.

„Wstań – powiedziałem jej. – Nie jestem biskupem. Ani papieżem. Jestem tylko człowiekiem jak ty”.

Nie odpowiedziała. Ledwie na mnie spojrzała, tak jak robią ci, których nie stać na to, żeby naprawdę patrzeć. Przez kilka sekund milczałem. Potem odszedłem. Ale to nie był koniec.

Następnego dnia wróciłem sam. Chciałem zobaczyć ją znowu, bez politycznego teatru wokół mnie.

Czekałem, aż pracownicy wyjdą. Kiedy mnie zobaczyła, spuściła oczy. Nieśmiałość. Szacunek. I stłumiona chęć, żeby mówić.

Zatrzymałem ją powolnym gestem, niczego nie narzucając. Była twarzą ukrytej ciągłości Południa: prastarego trudu, który nigdy nie został wymazany. Tylko lepiej ukryty.

Wziąłem ją za rękę. Podałem jej małe zdjęcie Ojca Pio, które zawsze noszę przy sobie. Na odwrocie napisałem:

***„Bólu nie zapomina się, kiedy minie.***

Zapomina się go dopiero wtedy, kiedy przebacysz”.

Nic więcej nie powiedziałem. Nie było potrzeby. Skinęła głową małym gestem, niewidocznym dla innych. Ale dla mnie to było wszystko.

### ***Epilog – Alabama***

Alabama nie jest stanem: jest wyrokiem. Miejscem, gdzie przeszłość nie przemija, a teraźniejszość nie prosi o pozwolenie. Wszystko jest wciąż zapisane w dwóch liniijkach: kto stoi i kto upada. A ta, która stoi, to zawsze kobieta.

Widziałem cztery różne twarze, ale tę samą prawdę: kelnerkę, która nigdy nie siada, śpiewaczkę gospel, która śpiewa, żeby oddychać, studentkę, która marzy o ucieczce z Południa, które ją ściga, robotnicę z nowych plantacji, dziedziczkę prastarego trudu. Cztery historie. Ten sam korzeń. Ta sama cicha bitwa.

W Alabamie kobieta żyje wewnątrz wiary, która chroni i karze, rodziny, która wspiera i dusi, wspólnoty, która obserwuje i osądza. A jednak się opiera. Nie ustępuje. Nie łamie się. Nie tłumaczy się.

Mężczyźni opisują swoje Południe jako powód do dumy. Kobiety przeżywają je jako próbę.

## ***Refleksja – Alabama***

Prawda jest prosta: tam, gdzie mężczyzna wystawia na pokaz nazwisko, kobieta rządzi światem.

Alabama nauczyła mnie, że niektóre życia nie potrzebują głosu, żeby krzyczeć. Potrzebują kogoś, kto wysłucha. A ja po raz kolejny zrobiłem to, co umiem: przejść, obserwować, zrozumieć, a potem odejść, nie przeszkadzając.

Bo amerykańskie Południe, tak jak globalne Południe, ma regułę, która obowiązuje od wieków: ci, którzy tam żyją, się nie zmieniają. Zmieniają się ci, którzy na nich patrzą.

Ja to zobaczyłem. I nie zostanę taki sam.

## **ALASKA**

Alaska nie jest stanem: jest żywą granicą. Terytorium wielkie jak kontynent, gdzie człowiek jest gościem, a decyduje natura. Są miasta połączone tylko drogą powietrzną. Wioski, które widzą lekarza raz w miesiącu. Domy, w których elektryczność jest luksusem, a ciepła woda przywilejem. Tutaj zimno nie jest klimatem: jest postacią. Kształtuje ludzi, formuje przyzwyczajenia, narzuca milczenie. Życie składa się z niemożliwych odległości, ciężkiej pracy, izolacji, która draży głęboko i zmienia sposób, w jaki mówimy, kochamy i przetrwamy.

Rdzenne społeczności niosą wieki tradycji. Kobiety są kamieniami węgielnymi: utrzymują dom, wychowują dzieci i trzymają wspólnotę razem. Ale nie są jej głosem. Często nie mają przestrzeni, żeby opowiedzieć, co znoszą.

W miastach – Anchorage, Fairbanks, Juneau – świat porusza się szybciej, ale samotność pozostaje ta sama. Kobiety przyjeżdżają w

poszukiwaniu pracy, wolności, przyszłości. Wiele z nich zostaje pochłoniętych przez przedmieścia, przez zmiany w koncernach naftowych, przez złe związki, przez milczenie instytucji.

Na Alasce, kiedy kobieta upada, dźwięk nie dociera nigdzie. Zimno przykrywa wszystko. A to, co znika, pozostaje zaginione.

## ***Taksówkarka***

Wystarczyła droga z lotniska do hotelu. Czterdzieści pięć minut po oblodzonej drodze i czterdziestoletnia wdowa ani na sekundę nie przestała do mnie mówić. Na Alasce zawsze tak jest: ludzie żyją samotnie, ale kiedy spotykają kogoś, kto słucha, otwierają się, jakby to był ich ostatni dzień.

Postanowiłem, że przez całą tę podróż będę pisarzem. Żadnych ról, żadnej firmy, żadnych testów. Pozostałem anonimowy, bo prawdę mówiąc, sam też nie bardzo wiedziałem, czego szukam.

Wiedziałem tylko, że ktoś mi płaci, żebym zrozumiał coś, czego nie mówią. Zaczęła od zwykłych pytań: wiek, praca, czy jestem żonaty, czy mam dzieci. Odpowiedziałem po prostu: „Jestem zaręczony”.

Wybuchnęła śmiechem. A śmiech na Alasce to paszport do zaufania kobiety. W tej chwili byłem w jej świecie.

Dojechaliśmy do hotelu. Zaparkowała i znalazła pretekst, żeby odprowadzić mnie do pokoju z walizką. Od razu coś zrozumiałem: kiedy kobieta czegoś chce, nie prosi. Bierze.

To był pierwszy znak, że muszę uważać. Nie było to ryzykowne, było to pełne szacunku: kobieta, która jeździ sama nocą po Alasce, nie dożyje czterdziestki, jeśli nie nauczy się czytać mężczyzn lepiej niż ktokolwiek inny.

Zostaliśmy przyjaciółmi. Piszemy do siebie do dziś. Prosi o rady i za każdym razem powtarza to samo zdanie:

„Masz rozwiązanie problemów wszystkich, ale sam nie masz problemów. Masz okazje”.

Kobieta, która jeździ w lodowatym zimnie, żeby przetrwać. I która nigdy nie przestała rozumieć innych bardziej, niż oni kiedykolwiek rozumieli ją.

### ***Policjantka straży granicznej***

Rano wyszedłem na spacer. Kiedy podróżuję, zawsze robię to samo: zostawiam dokumenty i portfel w hotelu i noszę przy sobie tylko wizytówkę hotelu. To przyzwyczajenie, które mam od lat. Przyglądałem się domom, zimnu, ciszy Alaski, kiedy bez ostrzeżenia przyjechały dwa radiowozy. Wyskoczyły z nich dwie policjantki, zablokowały ruch, rozciągnęły żółtą taśmę i odgrodziły teren, jakby właśnie doszło do morderstwa.

Stałem i patrzyłem, ale po kilku sekundach jedna z nich kazała mi zostać na miejscu. Chciały mnie przesłuchać jako świadka.

### ***Świadek czego?***

Niczego nie widziałem. Byłem tylko mężczyzną na spacerze.

„Sprawa” wyglądała tak: pies udusił się na śmierć. Ktoś nakarmił go hot dogami bez wody. Na Alasce to też jest przestępstwo.

W tamtej chwili myślałem, że wszedłem na plan filmowy. Ale to była rzeczywistość. To była Alaska. A ja tam byłem.

Pomogły mi wsiąść do swojego samochodu i zawiozły mnie z powrotem do hotelu po dokumenty. Jedna z nich dobrze mówiła po francusku i zaczęła mnie w tym języku wypytywać.

Pies był martwy. Trzeba było znaleźć winnego. Ja tam byłem, więc można mnie było przesłuchać.

Powiedziałem, że kocham zwierzęta. Że mam dwa we Włoszech. I to, w tej niewytłumaczalnej północnoamerykańskiej logice, wystarczyło, żeby uznać mnie za „niepodejrzanego”.

Napięcie opadło. Formalności wyparowały. I przyszło zaproszenie na kolację.

Policjantka bez munduru miała w sobie ogień, jakiego nie spodziewałbyś się pośrodku lodu. Zapomnij o stereotypach na temat Meksykanek czy Hiszpanek: kobiety z Alaski są gorące, żeby przetrwać, nie dla zabawy.

Kolacja była prosta, szczerza i bez pretensji. Moje żarty rozśmieszały ją tak, jak nie śmiała się od lat. Tutaj, w tak odległych miejscach, śmiech jest rzadkim towarem.

Na koniec pożegnaliśmy się bez obietnic i oczekiwań. Została tylko jedna rzecz, mocna i ostra:

### ***Cisza.***

Taka, która na Alasce zawsze przychodzi po każdej historii. I waży więcej niż lód.

### ***Dziewczyna z uniwersytetu***

Zapytałem w hotelu, gdzie jest biblioteka. Dla mnie zawsze była miejscem idealnym: cisza w środku, słowa na zewnątrz. Miejscem, gdzie ludzie przywdziewają spokój, żeby wrócić do dawnych siebie, gdy tylko przekroczą drzwi.

Od razu zauważyłem Elgę – sekretarkę. Nosila nowoczesne okulary w czerwonych oprawkach. Szczegół, który u kobiety z Północy wyraża styl, charakter i naturalną zmysłowość. Zaprosiłem ją na przerwę na kawę. Nie zastanawiała się dwa razy: zamknęła bibliotekę i wyszliśmy.

Doszliśmy do przystanku, ale nasz autobus odjechał zaledwie kilka minut wcześniej. Telefon, który nigdy nie dotarł. Spóźniony pociąg. Jedno z tych małych pęknięć, które stają się okazjami.

Nie straciła ducha. Wzięła mnie pod rękę, jakby знаła mnie od lat, i zaprowadziła do swojego domu. Zrobiła angielską herbatę, herbatniki, proste, niemal dziecięce przyjęcie. Ja byłem Włochem, który znalazł się tam przypadkiem, ona młodą studentką szukającą kawałka przyszłości. W tym małym, schludnym salonie zrozumiałem jedno: życzliwość na Alasce jest krótkim gestem. Natychmiastowym aktem. To nie formalność: to konieczność.

Szukała męża. Nie powiedziała tego, ale było to widać w każdym jej ruchu. Zrobiłem jedyną rzecz, którą naprawdę umiem: dałem jej kilka rad. To nie ja powinienem był trzymać ją za rękę. Przyszedłem na świat, żeby dawać, nie żeby brać. I to nie był mój czas.

Trzy lata później dostałem e-mail. Zdjęcie. Ona, z dzieckiem na rękach. I jedno zdanie:

***„Dałam mu twoje imię.”***

Nie z miłości. Z szacunku”.

W kraju, gdzie mróz przykrywa wszystko, czasem wystarczy mały gest, żeby zostawić ślad, który nigdy nie topnieje.

### ***Gospodyni domowa***

Zdałem sobie sprawę, że porzucam swoją dietę. Jedzenie raz dziennie było w porządku w podróży, ale nie w miejscu takim jak Alaska, gdzie zimno pożera cię, nie pytając o pozwolenie. Postanowiłem zostawić restaurację i pójść na targ. To był

najbardziej logiczny wybór: dobrze zjeść i lepiej przyjrzeć się miejscowym.

W prowincjonalnych supermarketach rozumie się wszystko: jak się ubierają, ile wydają, jak patrzą na swoje dzieci, jak radzą sobie ze zmęczeniem. To najszczersza wystawa sklepowa w mieście.

Wziąłem opakowanie włoskiego prosciutto i trochę mozzarelli z bawolego mleka – rzadki luksus w tym lodowatym zimnie – kiedy pełny wózek z zakupami uderzył mnie w bok. Odruchowo pomyślałem, że to przypadek. Ale z mojego doświadczenia wynika, że kobiety nie robią niczego „przypadkiem”. Zawsze wiedzą, dokąd idą.

Spojrzała na mnie i powiedziała: „Prosciutto i mozzarella... musisz być Włochem?” W jednej sekundzie pojęła wszystko: narodowość, gust, nawet elegancję zakupów.

### ***Miała na imię Rose, pięćdziesiąt sześć lat.***

Mieszkała z córką, zięciem i dwojgiem wnucząt. Byli jej radością i jej ciężarem. Kobieta z tych, które utrzymują dom na powierzchni, a nikt tego nie zauważa.

Zaproponowałem kawę w pobliskiej kawiarni. Przyjęła bez wahania. Skończyła zakupy, włożyła je do samochodu i wróciła do mnie.

Przy stoliku zaczęła mówić. Dużo. Słuchałem. Nie przerywałem. Czasem najmocniejszym słowem jest milczenie, które pozwalaś wykorzystać drugiemu.

W pewnej chwili uśmiechnęła się i powiedziała: „Włoch, miłość, mama, pizza, spaghetti...” Zwyczajne zdanie zbudowane ze stereotypów, ale z prawdziwą czułością. Zastanawiałem się, czy przeczytała którąś z moich książek.

Potem powiedziała: była pisarką. I kupiła mój tekst, wydany pod pseudonimem. Na szczęście: nie rozpoznała mnie.

Opowiadała dalej o swoim życiu, o pełnym domu, o dniach takich samych, o strachu, żeby wnukom niczego nie zabrakło, o miłości, której nie da się wyrazić, bo wydaje się oczywista.

Kiedy w końcu przestała, spojrzała mi w oczy. Było to jedno z tych spojrzeń, które mówią więcej niż tysiąc słów.

Powiedziałem jej tylko tyle: „Jutro kupię twoją książkę”. A potem przyślę ci recenzję”.

Była wzruszona. Głos lekko jej drżał: „Dziękuję. Nie wiesz, co poczułam, poznając cię. Co za elegancka, uprzejma osoba... Czy wszyscy Włosi są tacy?”

Odpowiedziałem tak, jak zawsze odpowiadam: „Patrz na dłonie i stopy. Tam można zrozumieć, skąd naprawdę pochodzi człowiek”.

Rose się uśmiechnęła. Był to uśmiech niewidzialnej kobiety, która na jedno popołudnie przestała być niewidzialna.

## ***Epilog – Alaska***

Alaska ani cię nie wita, ani nie odrzuca. Obserwuje cię. Mierzy cię. Trzyma cię w niepewności, dopóki nie wie, czy jesteś dość uczciwy, żeby zostać jeszcze jeden dzień, czy dość rozsądny, żeby wyjechać.

W tym stanie odległość nie jest geograficzna: jest ludzka. Ludzie żyją w milczeniu, które gdzie indziej trwa kilka sekund, a tutaj staje się miesiącami. Samotność jest ich językiem ojczystym. A kobiety mówią nim najlepiej. Widziałem cztery kobiety w czterech różnych rolach i wszystkie miały jedną wspólną rzecz: nie czekały na nikogo.

Taksówkarka jeździła, żeby się nie zatrzymać. Policjantka kontrolowała świat, którego nie dało się kontrolować. Studentka szukała przyszłości w miejscu, które odbierało teraźniejszość. Gospodyni domowa utrzymywała cały dom, choć nikt jej nie widział.

Na Alasce kobiety nie proszą. Działają.

To miejsce, gdzie życie jest krótkie, noc jest długa, a prawda nie potrzebuje widzów.

### ***Refleksja – Alaska***

Alaska nauczyła mnie czegoś prostego i zacieklego: świat nie dzieli się na mężczyzn i kobiety. Dzieli się na tych, którzy dźwigają ciężar, i tych, którzy zrzucają go na innych.

W tym stanie ciężar dźwigają one.

Nie widziałem kruchości. Widziałem godność. Widziałem spokój, który nie bierze się z pokoju, ale z przyzwyczajenia do burzy. Widziałem kobiety, które się nie skarżą, bo wiedzą, że gdyby to robiły, nikt by ich nie wysłuchał.

Kobiety z Alaski nie są niewidzialne dlatego, że ich brakuje. Są niewidzialne, bo nikt nie patrzy na nie wystarczająco długo, żeby naprawdę je zobaczyć.

Są matkami bez czasu, pracownicami bez godzin, strażniczkami bez publiczności. Są częścią społeczeństwa, która nie prosi o oklaski. I nigdy nie poprosi.

Kobiety z Alaski nie mówią o tym, co przeżyły. Dlatego robię to teraz ja.

## ARIZONA

Arizona to otwarta rana na pustyni. Przestrzeń pyłu, kanionów i milczenia, które nie bluźni, tylko osądza. Tutaj słońce nie grzeje. Pali. A noc nie jest chłodna. Dzieli.

To stan graniczny, gdzie każda droga wiezie podejrzanego. Imigranci, agenci straży granicznej, rdzenne plemiona, weterani, kierowcy ciężarówek, samotne kobiety, rozbite rodziny: wszyscy zmieszani w bezlitosnym upale.

Miasta wydają się nowoczesne, ale gdy tylko wyjedziesz poza ich granice, czujesz prawdę: Arizona to pustynia, wyludnienie, narkotyki, starcia kultur, rdzenne korzenie, które nigdy nie wymierają, i samotność bez horyzontu.

A kobiety? Tutaj żyją w oku cyklonu: między granicami a tożsamością, między przetrwaniem a dumą, między przemocą a wolnością.

Kobieta z Arizony może być kimkolwiek: – rdzenną Hopi albo Nawaho – meksykańską imigrantką – samotną matką z miasta duchów – funkcjonariuszką straży granicznej – pielęgniarką w rezerwatach – studentką z Phoenix, która marzy o ucieczce.

Ale w każdej roli jest ten sam ciężar: opierać się, nie mogąc się zatrzymać.

### ***Policjantka straży granicznej, 38 lat***

Spotkanie z policją, w każdym miejscu na świecie, jest zawsze testem społeczeństwa, w którym się znalazłeś. Zawsze przeżywałem je jako bezpośrednią konfrontację z terytorium, jego regułami, jego ograniczeniami, jego duchami.

Tego popołudnia wynająłem samochód, żeby czuć się wolny i niezależny. Byłem przekonany, że droga należy do mnie. Ale w Ameryce droga nigdy nie jest twoja. To ona ma u ciebie dług.

Jechałem cztery godziny bez zatrzymywania się. Potem pięć. Pustynia Arizony jest bezlitosna: niekończące się kaniony, milczenie, od którego przechodzą dreszcze, mile, które wszystkie wydają się takie same.

I wtedy go zobaczyłem. Radiowóz z migającymi światłami. Nakaz zatrzymania.

Wysiadła kobieta. Miała wyraźnie meksykańskie rysy, intensywne czarne oczy, ciemne włosy zaczesane do tyłu, czerwone usta. Ciemne Ray-Bany i ciało, które wydawało się wyrzeźbione z samej pustyni. Bez zastanowienia powiedziałem do niej:

„Czy pani uciekła z konkursu piękności?”

Nie dała się nikomu dotknąć. „Bez żartów. Dokumenty, albo pana aresztuję”.

Bardzo przytomna. Zabójcza. Profesjonalna.

Podąłem jej wszystko. Zwykle pytania: dlaczego jestem tak blisko granicy, skąd jadę, dlaczego od godzin jadę prosto przed siebie. „Nie mogę powiedzieć, że zbieram grzyby – odpowiedziałem. – Chcę zobaczyć prawdziwą Amerykę, tę, której nie znajdzie się w książkach”. Kazała mi wysiąść z samochodu. Sprawdziła wszystko. Potem mi się przyjrzała. „Dlaczego nie ma pan alkoholu? Dlaczego pan nie pali?” „Jestem byłym rugbistą. Został mi tylko jeden z moich nałogów”. „Jedzenie?” – powiedziała. „Tego, czego pragnę, nie da się zjeść. Można to tylko kochać”. „Pies?” – zaśmiała się. „Nie”. Zesztywniała. Zrozumiała, że posuwam się za daleko. To był niebezpieczny teren: ona miała władzę, autorytet, a do tego

charakter, który nie prosił o pozwolenie. „Można wiedzieć, co można tylko kochać?” – zapytała. „Oczywiście. Tę, od której wszystko się zaczęło, tę, która nas stworzyła, tę, która trzyma nas przy życiu, tę, która niesie nas naprzód”. „Kogo?” „Kobietę. Nie rozumiała pani?” Nie odpowiedziała. Oddała mi dokumenty. „Proszę zawrócić. To nie jest pana droga”. Posłuchałem. To była najmądrzejsza rzecz, jaką mogłem zrobić. Potem przyszła noc.

A o dziesiątej, w holu mojego hotelu, zobaczyłem, jak wchodzi. Zwykle ubranie. To samo spojrzenie. Ta sama siła. Kobieta, która dokładnie wiedziała, czego chce.

Podeszła. „Mogę się czegoś napić?”

„Nie” – odpowiedziałem. I wstałem.

Złapała mnie za ramię. „Dlaczego wychodzisz?”

Spojrzałem jej w oczy i powiedziałem prawdę:

„Uciekanie przed niebezpieczeństwem to nie tchórzostwo. To zdrowy rozsądek”.

I odszedłem.

### ***Kobieta Nawaho***

Tego ranka obudziłem się późno. Później miałem wystąpić na kampusie jako zaproszony prelegent. Chwyciłem torbę z rzeczami do pracy, zszedłem na parking i wsiałem do pierwszego autobusu z napisem „Campus”. Prosty, głupi, niewinny błąd.

Po godzinie wciąż niczego nie rozpoznawałem. Inne drogi, inne krajobrazy i nikt nie wysiadał. Potem autobus się zatrzymał. Koniec trasy.

## ***Rezerwat Nawahów.***

Następny autobus miał odjechać nazajutrz. Bez telefonu, bez kontaktu, bez możliwości zawiadomienia kolegów. Musiałbym pojawić się następnego dnia i wyjaśnić nieporozumienie. Zdarza się. Życie nie uprzedza.

Gdy tylko wszedłem do rezerwatu, indiański wódz objął mnie jak krewnego, który wraca po latach. Przedstawił mi swoją żonę, córkę i bliskich krewnych. Oprowadzili mnie, poczęstowali czymś do picia i mimochodem powiedzieli:

„Dziś po południu urządzamy dla ciebie przyjęcie”.

Czekali na kogoś innego. Ja trafiłem tam przypadkiem. Albo czasem los przychodzi przebrany za pomyłkę. Uśmiechnąłem się. Przyjąłem. Pozwoliłem decydować pustyni.

Mięso bizona. Placki z krwi. Ziemniaki, papryka i cebula. Piwo i alkohol bez umiaru. Wszędzie tradycyjne stroje. Płonął ogień. Powolne bębny. I córka wodza, która wkładała mi na głowę kapelusz z białym piórem.

Była prawdziwą Nawaho. Milcząca. Uważna. Przyzwyczajona widzieć wszystko i nic nie mówić. Jedna z tych kobiet, które dorastają pośród tradycji, pracy, domowych ran, których nikt nie zgłasza, i tożsamości, która nie umiera nawet pod betonem.

Przyjęcie trwało do późnej nocy. Sceny, które widziałem w filmach z Johnem Wayne’em, ale na odwrót: to nie oni byli napastnikami. To oni byli tymi, którzy przetrwali.

Położyli mnie spać w tipi wodza, na skórach bizona. Bez ubrania. Prastary obrzęd. Zgodziłem się. Nie byłem tam po to, żeby sprzeciwiać się światu, który mnie przyjął. Po chwili weszła córka wodza. Ten sam styl. Bez słów. Tylko obecność.

Potem przyszedł wódz i jego żona, każde w swoich skórach, każde na swoim miejscu. Sprawdzili córkę. I sprawdzili mnie. Zadowoleni. Spokojni. Jakby wszystko było na swoim miejscu.

Następnego ranka szukałem łazienki. Wskazała mi trzciniowisko i rzekę.

Próbowałem umyć się w rzece, ale woda była mętna i pełna ryb. Wszedłem w trzciny. Wydawało się, że nikogo tam nie ma.

Mylilem się.

Gdy tylko się usadowilem, wyszło dwóch Indian z gazetami w rękach, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie. Potem trzeci. Potem kolejny.

### ***Cała wioska srała na tym samym polu trzciny.***

A ja myślałem, że jestem sam.

Autobus z powrotem do cywilizacji miał zaraz odjechać. Nie mogłem się na niego spóźnić.

Córka wodza mnie zatrzymała. W jej oczach była wątpliwość. „Zobaczę cię jeszcze?”

Dałem jej swój laptop. Sposób, żeby pozostać w kontakcie. Szansa.

Ale ten kontakt nigdy nie nadszedł.

Bo milczenie Indian nie jest nieobecnością. Jest historią. Jest prawem. Jest pamięcią, która nie szuka potwierdzenia.

### ***Pielęgniarka z miasta duchów – 45 lat***

Moja tarczyca zaczęła szwankować. Nie jadłem, a przybierałem na wadze. Klasyka.

Spróbowałem w aptece: bez recepty nie ma leku. Spróbowałem w supermarketach: żadnych wersji bez recepty. Jediną możliwością, jaka została, był szpital.

I tam ją poznałem.

### **Conchita.**

Pielęgniarka. Czterdzieści pięć lat. Mieszkała w opuszczonych rejonach Arizony, gdzie upał ciąży jak klątwa, a noc wypełniają przedawkowania, dalekie syreny i puste domy. W miastach duchów ludzie znikają, nawet kiedy żyją.

Spojrzała na mnie. Codziennie widziała zdesperowanych ludzi, narkomanów, rannych, rozbite rodziny. Ktoś taki jak ja – cudzoziemiec, w garniturze, uprzejmy i przyszedł tylko po leki na tarczycę – nie znajdował się na liście pilnych problemów.

A jednak procedura była barierą nie do pokonania. Obamacare zapewniała opiekę wszystkim, owszem, ale tylko hospitalizowanym.

Ja nie miałem być hospitalizowany. Miałem po prostu dalej żyć.

Nie nalegałem. Nie było takiej potrzeby. Powiedziałem jej tylko, że mieszkam w pobliskim hotelu. Zostawiłem jej swoje imię: Ferdinando. Nic więcej.

Wyszedłem. Tej nocy, około północy, zadzwonił telefon w hotelu. Recepcjonista zapytał, czy pozwolę pewnej pani wejść na górę, czy wolę zejść do holu.

Wolałem zejść.

Conchita tam była. W cywilnym ubraniu. Bez munduru, bez ról.

„Możemy porozmawiać?” – zapytała. Skinąłem głową.

Poszliśmy do pobliskiego pubu. Siedząc naprzeciwko mnie, sięgnęła pod stół i podała mi małą białą kopertę. W środku moje leki. Przekazała mi je tak, jak przekazuje się narkotyki uzależnionym. Z tą samą ostrożnością, tym samym ryzykiem, tą samą tajemnicą.

Nie rozumiałem, dlaczego to zrobiła. O nic jej nie prosiłem.

Zrozumiałem to dopiero, kiedy się odezwała.

„Nie chodzi o lek – powiedziała. – Chodzi o to, jak pan prosił. O sposób. O maniery. O styl”.

Spojrzała mi w oczy. Kobieta, która spędza dni pośród krzyków, nagłych wypadków, przemocy i biedy, od razu rozpoznaje tych, którzy nie chcą brać, tylko żyć.

„Nie robię tego dla każdego” – dodała. A ja to wiedziałem.

Pośrodku pustyni pełnej nieobecności niewidzialna kobieta postanowiła być obecna.

### ***Pokojówka z Tucson – 22-letnia imigrantka***

Po południu naszła mnie ochota na coś słodkiego. To nie był głód, to był brak czułości, i wiedziałem o tym. Najprostszym lekarstwem było usiąść w restauracji i zamówić coś słodkiego.

Kelnerka przyszła od razu. Mała, szczupła, krucha w ciele, ale szybka w ruchach. Wyglądała jak siostra Speedy’ego Gonzalesa w spodnicy: przemykała między stolikami, jakby paliły jej się kostki.

„Ile masz lat?” – zapytałem ją.

Nawet nie spojrzała w notes. Rzuciła mi groźne spojrzenie.

„Co cię to obchodzi? Zjedz, zapłać i wyjdź. A jeśli będziesz mi przeszkadzał, zadzwonię na policję”.

Dwadzieścia dwa kilo ciała. Dwadzieścia ton charakteru. Czysty dynamit w szklanym słoiku.

Właściciel natychmiast wyszedł, przepaszając. Widział wszystko. Nie zrobiłem nic złego, ale ona nie była z tych, które analizują: ona reagowała.

Opowiedziała mi swoją historię. Przyjechała z Meksyku z niczym: bez pieniędzy, bez rodziny, bez solidnych dokumentów, bez żadnej pewności. Obsługiwała stoliki, żeby przetrwać, i miała nadzieję na przyszłość, którą Arizona rzadko oferuje.

Spieszyła się. Ze wszystkich sił na świecie. I ten pośpiech był jej granicą.

Poprosiłem o długopis i kartkę. Napisałem list. Bez romantyzmu, bez złudzeń: tylko prawda. Zostawiłem go dla niej u właściciela, który skinął głową tak, jak kiwa się komuś, kto okazuje szacunek.

Następnego dnia przechodziłem obok lokalu. Nie wszedłem. Chciałem tylko popatrzeć.

Nagle usłyszałem za sobą szybkie kroki. Uderzenie w plecy.

Odwróciłem się.

To była ona.

Ściągnięta twarz, nerwowe oczy, zadyszka.

**„Mam dwadzieścia dwa lata” – powiedziała.**

„A gdzie ty, do cholery, śpisz? Szukałam cię całą noc. Nawet policja nie wie, gdzie jesteś”.

Spojrzałem na nią. Była tą samą dziewczyną co poprzedniego wieczoru, ale bez zbroi. Dziecko w świecie, który pożera dorosłych.

Pożegnałem się z nią. I odszedłem. Nie z obojętności. Z szacunku. Bo pewnych kruchości nie należy dotykać: trzeba pozwolić im odejść.

### ***Epilog – Arizona***

Arizona nie jest krajobrazem: jest granicą. A granic się nie przekracza. Staje się z nimi twarzą w twarz.

W tym stanie upał nie jest temperaturą: jest wyrokiem. Pustynia nie jest przestrzenią: jest samotnością. Ludzie nie żyją, tylko się opierają.

Poznałem cztery kobiety i wszystkie miały to samo słowo: przetrwanie. Funkcjonariuszka straży granicznej, uzbrojona po zęby, ale samotna jak pustynia, którą patroluje. Kobieta Nawaho, córka bezlitosnej ziemi i pamięci, która nigdy się nie goi. Pielęgniarka z miast duchów, która leczy niewidziane życia i ratuje tych, którym nic nie zostało. Kelnerka imigrantka, dwadzieścia dwa lata gniewu i kruchości, w wojnie ze światem większym od niej samej.

Cztery różne drogi. Ta sama pustynia w środku.

W Arizonie kobiety nie czekają na przyszłość: szukają jej ze wszystkich sił. A kiedy jej nie znajdują, idą dalej. Bo zatrzymać się znaczy zniknąć.

Mężczyźni przemierzają ten stan, żeby zobaczyć kaniony. Kobiety przemierzają go, żeby uniknąć śmierci. I robią to w milczeniu, o nic nikogo nie prosząc.

### ***Refleksja – Arizona***

Pustynia uczy jednej rzeczy: nikt nie przetrwa sam.

A jednak kobiety z Arizony to robią. Każdego dnia. Każdej nocy. W klimacie, który zapiera dech, i w społeczeństwie, które wymaga, żebyś był silny, nawet kiedy nie możesz.

To kobiety, które nie mają czasu, żeby się skarżyć. Nie mają czasu, żeby marzyć. Nie mają czasu, żeby popełniać błędy.

A ja po raz kolejny zrobiłem to, co robię zawsze: poznałem je, obserwowałem, słuchałem, a potem pozwoliłem im odejść. Bo szacunek polega także na tym, żeby nie zatrzymywać. Arizona przypomniła mi, że są życia, które nie proszą o zrozumienie: proszą tylko, żeby ich nie ignorować.

A ja nie będę ich ignorował. Nigdy.

## **ARKANSAS**

Arkansas to powolny łuk między wzgórzami, rzekami i skrzypiącymi drewnianymi domami. To stan, który nie robi hałasu, bo hałas przyciągnąłby niechcianą uwagę. Tutaj wszystko jest obdarte do kości: praca na roli, zapomniane kopalnie, odizolowane społeczności, dzielnice, w których bieda nie jest etapem, lecz spadkiem.

To Ameryka, która żyje poza mapą. Bogactwo jest na Zachodzie. Nowoczesność na Północy. Tutaj zostają inni: ci, którzy nie mieli wyboru.

Kobiety z Arkansas to te, które trzymają razem to, co zostało: niestabilne rodziny, walące się domy, nieobecnych albo zapracowanych mężów. Kobieta z Arkansas wcześniej dorasta, wcześniej wychodzi za mąż i wcześniej się starzeje.

Jest: – matką na pełen etat – pielęgniarzką bez dyplomu – psycholożką z przypadku – kucharką, kierowniczą,

wychowawczynią – źle opłacaną pracownicą supermarketów, farm i tanich przychodni.

Ale na tym się nie kończy. Arkansas ma też drugą stronę: twardą, ukrytą, złożoną z zawodów, które dają władzę, ale odbierają życie. Jest też: – pracownicą poczty, która zna sekrety całego miasteczka – menedżerką lokalnych firm, bez premii i bez chwały, tylko ze stresem – urzędniczką skarbową, budzącą strach, ale ignorowaną, przygniecioną papierami i niską pensją – agentką FBI przeniesioną tu za karę albo dla ochrony, zmuszoną do milczenia – techniczką wodociągów, która zapewnia wodę społeczności nieznającej nawet jej imienia – pracownicą firmy farmaceutycznej, gdzie obiecuje się leki, a daje wyczerpujące zmiany

Wiara jest kotwicą. Trud jest codziennością. Samotność jest normą.

Tutaj kobiety nie szukają emancypacji: szukają wytchnienia. I często go nie znajdują.

### ***Pracownica poczty – 48 lat***

W Arkansas poczta jest w sercu miasteczka. To coś więcej niż miejsce, przez które przechodzą listy i paczki: krążą tam plotki, czeki, skargi, oszustwa i zwierzenia.

Ona utrzymuje je przy życiu. Wie wszystko o wszystkich. Ale nikt nic nie wie o niej.

Dla mnie to było jak powrót do biura mojej matki. Trzydzieści pięć lat na poczcie, a pewne mechanizmy rozpoznaje się od razu: sztywne hierarchie, zaufanie dla nielicznych wybranych, pieniądze przechodzące z rąk do rąk, ale zawsze pod kontrolą. Wszedłem, już wiedząc, jaką odpowiedź dostanę. Przewidywalność to przewaga.

To był żart: Kriss, 48 lat, dyrektorka, otworzyła mi drzwi swojego gabinetu. Od razu potraktowała mnie jak „zagranicznego konsultanta”, z tą ciekawością zmieszaną z nieufnością, jaką mają kobiety przyzwyczajone nikomu nie ufać, ale zmęczone robieniem wszystkiego same.

Najpierw pokazała mi, co potrafi. Potem, odważniej, czego chce.

Kiedy pierwsza bariera padła, kontakt z pieniędzmi i z jej codziennymi narzędziami rozpuścił resztę. Zaczęła mówić. Trudne relacje z administracją, zablokowana kariera, złamane obietnice, ciągłe kontrole, zero uznania.

„Potrzebuję szybkich i skutecznych rozwiązań” – powiedziała.

Powiedziałem jej tylko łacińskie zdanie, rzucone jak prowokacja: „Do ut des”. Daję, abys ty dała.

Zrozumiała od razu: „Dam ci wszystko, czego chcesz, jeśli mi pomożesz”.

W ciągu trzech dni przygotowałem serię listów do Dyrekcji Generalnej. Przeczytała je, kontrasygnowała i wysłała. Wkrótce potem przyszło wezwanie.

Zażądała, żebym towarzyszył jej jako konsultant. Zgodziłem się. Wynik był jasny: – awans z urzędniczki na menedżerkę – podwyżka pensji – ta sama rola – dużo mniej kontroli.

Wyszła z biura, skacząc z radości. To był problem, który nosiła w sobie od co najmniej pięciu lat, a w tydzień zniknął.

Wieczorem zabrała mnie na kolację.

Przyszła elegancko ubrana, inna niż ta, którą widziałem w biurze. Było jasne, że ktoś pomógł jej się przygotować: koleżanki,

przyjaciółki, córka. Wszyscy wzięli udział w tej przemianie z „zaniedbanej” w „widocznie kobietę”.

Pod koniec kolacji poszła do kasy zapłacić. Wróciła, nie płacąc. Właściciel ją zatrzymał: rachunek był już uregulowany.

Uprzedziłem wcześniej: „Nie bierz od niej ani centa. To mój rachunek”.

Kriss się uśmiechnęła. Potem kazała mi wyjść. „Odwiozę cię do domu. Chcę ci dać prezent, na który zasługujesz”.

Dokładnie wiedziałem, co ma na myśli. Powiedziałem jej, żeby jechała przodem, że zaraz do niej dołączę.

Ja natomiast pojechałem na lotnisko. Opuściłem stan.

Trzy dni później dostałem od niej maila. Napisała, że jest rozczarowana moim zachowaniem, ale też wdzięczna. Znalazła, jak to ujęła, „wyjątkowego mężczyznę, który niczego nie chciał w zamian za to, że zmienił moje życie”.

### ***Agentka FBI na bocznym torze – 38 lat***

Przyjechała z Waszyngtonu, przyzwyczajona do wielkich śledztw, ciężkich odpraw i przeszklonych sal z mężczyznami, którzy decydują o życiu innych. Teraz znajduje się na podmiejskim posterunku w Arkansas: tanie narkotyki, przemoc domowa, uparte milczenie. Jej władza jest bezużyteczna. Jej samotność – owszem.

Byłem tam, żeby zgłosić Ambasadzie swoje umiejętności i swoje słabości. Standardowa procedura. Wchodzę do jej gabinetu: Marion, 38 lat, agentka federalna przeniesiona pod przymusem.

„Mówmy sobie po imieniu, Nando – powiedziała od razu. – Powiedz mi: masz jakieś słabości?”

„Tak. Kobiety”.

Zesztywniała. „Co masz na myśli?”

„Pomagam im, kocham je, jeśli mogę... i zostawiam je”.

„Dlaczego?” – zapytała. „Bo zawsze żuje się tymi samymi zębami, a my mamy ich o wiele więcej. To kwestia zachowania: nie wszystko da się utrzymać, nie wszystko da się zatrzymać”. Teraz chciała, żebym ją przeanalizował. „To zrób to także ze mną. Powiedz mi, dlaczego mnie tu przeniesiono. Pokaż mi, co widzisz”.

Trzy minuty. Nie więcej. Wystarczyło, żeby się załamała.

Jej problem był prosty: nie potrafiła panować nad emocjami. W agencji takiej jak FBI to przekleństwo. Czyni cię słabą, czyni cię niewiarygodną, odbierają ci śledztwa i wysyłają tam, gdzie nie możesz narobić szkód.

Powiedziałem jej to. Bez filtrów.

Najpierw zaprzeczyła. Potem zastanowiła się przez sekundę. I wybuchnęła płaczem. Przytuliła mnie tak, jak przytula się kogoś, kto mówi prawdę, gdy nikt inny nie miał na to odwagi.

Potem podpisała dokumenty poświadczające moją sytuację. To był akt logiczny, ale jej podpis był emocjonalny.

Wychodząc, zadzwoniłem do Waszyngtonu. Poprosiłem o przeniesienie: „Przenieście mnie do Miami. Nie mogę się tu przenieść. Tam będę wolny”.

Pół roku później Marion wciąż była ze mną w kontakcie. Telefony, maile, prośby o spotkanie.

Zawsze mówiłem jej to samo: „Nie ma przyszłości. Ja już jestem gdzie indziej”.

Nie poddała się. Była w FBI. A kiedy FBI bierze cię na cel, nie odpuszcza od razu.

### ***Pracownica przemysłu farmaceutycznego – 55 lat***

Pracuje w zakładzie, który produkuje leki dla całego kraju. Potężna ironia: leczy innych, truje siebie. Ciężkie chemikalia, ciężkie zmiany, maski, które chronią tylko w połowie, pensja, która nie chroni przed niczym.

Nikt nie zna jej imienia. Wszyscy biorą tabletki, które przechodzą przez jej ręce.

Moje wejście nie było zaplanowane. Wszystko zaczęło się przy kolacji, po covidzie, kiedy ze śmiechem powiedziałem, że przyjąłem cztery dawki Pfizera, wszystkie z tej samej serii, a ta seria zawierała „wariant Viagry”, który gwarantował trwałe korzyści. Żart. Jeden z moich.

Ale ktoś przy sąsiednich stolikach słuchał. I wiadomość rozeszła się po kraju. Potem po świecie.

Firma farmaceutyczna chciała się ze mną spotkać. Żeby zrozumieć. Żeby sprawdzić. Bo w Stanach Zjednoczonych dobry szum społeczny może podwoić kurs akcji.

Zabrali mnie do fabryki. Ledwie wszedłem, 130 osób wstało i zaczęło klaskać. Byłem czerwony na twarzy, a oni byli przekonani, że zaraz zdradzę „sekret”.

Powiedziałem prawdę: „To był żart”. Nie uwierzyli.

Menedżerowie, dyrektorzy i sekretarki otoczyli mnie: każdy chciał szczegółu, potwierdzenia, cienia technicznej prawdy.

Ale to robotnica, 55 lat, z rękami zniszczonymi przez chemikalia i plecami zgarbionymi od lat niewidocznej pracy, poprosiła mnie o

rozmowę. Zaprowadzili ją do pokoju ze mną. Weszła przygnębiona. Pusta. Zmęczona.

Rozmawialiśmy czterdzieści pięć minut.

Nie o szczepionkach. Nie o seriach. Nie o cudownej sile.

Rozmawialiśmy o życiu. O porażkach udających normalność. O marzeniach pogrzebanych, bo nikt tam nie ma luksusu, żeby je mieć.

Powiedziałem jej tylko jedną prawdę: „Marzenie nie leczy, ale ratuje. I kosztuje mniej niż najtańszy lek, który produkujeś”.

Wyszła uśmiechnięta. Koleżanki patrzyły na nią, jakby znalazła uniwersalne antidotum.

„Co ci powiedział?” – pytały ją.

Nie odpowiedziała. A ja nigdy nie powiem.

To był najprostszy sekret na świecie: słowa, jeśli umiesz położyć je we właściwym miejscu, otwierają przestrzeń tam, gdzie nie było powietrza.

A jej tego dnia wystarczyło po prostu oddychać.

### ***Elegancka złodziejka – 30 lat***

Nie kradnie z instynktu. Kradnie, bo Arkansas nie wybacza tym, którzy urodzili się z niczym.

Jest wykształcona, inteligentna i błyskotliwa w przerażający sposób. Mogła zostać menedżerką, profesorką, konsultantką. Zamiast tego stała się cieniem: porusza się między domami, chatami, tożsamościami, obietnicami i straconymi szansami.

Poznałem ją w sieci. Prośba o pomoc przyszła na Skypie, czysty profil, imię, które wyglądało jak szyfr: Last A. Nazwać ją piękną to była obraza. Piękna to było niedopowiedzenie. Złodziejka – to było naturalne. Głupia – normalne. Zagadka z perfekcyjnym makijażem.

Poprosiła mnie o pomoc. Dałem jej ją.

W ciągu roku zebrała 14 000 dolarów, wszystkie na swoje deklarowane potrzeby. Ani jednego spotkania. Ani jednej rozmowy wideo. Ani jednego telefonu. Tylko cyfrowe listy, starannie przygotowane prośby, nagle wypadki, które wydawały się prawdziwe.

To było najśłodsze oszustwo, jakie mnie spotkało.

W końcu postanowiłem jej poszukać. Little Rock. Miasto Billa i Hillary Clintonów.

Poznałem jej matkę, Ritę. Miłą, zagubioną kobietę, która tak naprawdę nie знаła swojej córki. Kiedy mnie zobaczyła, nawet nie drgnęła; przeciwnie, poprosiła mnie o więcej pieniędzy, z naturalnością kogoś, kto oddycha.

Właśnie w tym momencie zobaczyłem prawdę.

Nie była sama. Była powiązana z grupą w Ghanie. Oddawała 55% swoich zarobków. Profesjonalistka z konieczności. Wszyscy pytali mnie, jak mogłem dać się nabrać na tak brudną grę. Jak mogłem uwierzyć. Płacić. Trwać. Godzić się.

Ale odpowiedź była prosta i miałem ją jasną w sobie:

Ci, którzy są stworzeni, by pomagać, nie myślą o złu. Widzą tylko dobro, które mogą zrobić, nawet kiedy świat pokazuje im coś innego.

## ***Epilog – Arkansas***

Arkansas to nie stan: to powolna pułapka. Sieć biedy, milczenia, minimalnej pracy i istnień, które gasną po cichu. Kobiety, które tu poznałem, nie prosiły o zbawienie. Prosiły po prostu o miejsce, żeby oddychać.

Pracownica poczty, królowa wszystkich sekretów miasteczka, chciała tylko odzyskać swoją wartość. Agentka FBI, która spadła z wysoka, walczyła bardziej ze sobą niż z przestępczością.

Pracownica przemysłu farmaceutycznego, niewidoczna wśród tabletek i chemikaliów, ratowała świat, trując siebie po trochu. A elegancka złodziejka... była doskonałym symbolem tego stanu: inteligentna, błyskotliwa, ale zmuszona wybrać drogę, którą narzuciło jej życie.

Arkansas pokazał mi jedną prostą rzecz: tutaj kobiety przeżywają, jak mogą. Jedne się trzymają. Inne uciekły. Jeszcze inne wślizgują się w cień, bo światła nigdy tam nie było.

I wszystkie, w taki czy inny sposób, pozostają nieobecne. Nie dlatego, że ich brakuje. Ale dlatego, że nikt ich nie widzi.

## ***Refleksja – Arkansas***

W tym stanie zrozumiałem, że bieda nie jest stanem ekonomicznym. Jest stanem emocjonalnym, kulturowym i mentalnym. To głębokie przekonanie, że nie zasługuje się na nic więcej. Ci, którzy się tu rodzą, muszą walczyć z niespisanym przeznaczeniem.

Kobieta z Arkansas nie ma przyszłości: buduje ją gołymi rękami. Każdego dnia. W społeczeństwie, które mówi o możliwościach, a rozdaje tylko przetrwanie.

Zobaczyłem tu coś jasnego:

## ***Kobiety nie upadają.***

Pozwala się im upaść.

A prawdziwym grzechem nie jest bieda. Jest nim obojętność tych, którzy patrzą i przechodzą obok.

Ja nie przechodzę obok. Patrzę, słucham, piszę. I wynoszę te historie z tej ziemi, bo gdybym tego nie robił, zostałyby pogrzebane jak wszystko tutaj: w milczeniu, w kurzu i we wstydzie.

## **KALIFORNIA**

Kalifornia to nie stan: to masowa iluzja.

Dla tych, którzy obserwują ją z daleka, to słońce, palmy, kino, technologia, ocean, amerykański sen. Dla tych, którzy przeżywają ją od dołu, to nieustanne pęknięcie: skrajne bogactwo kilka metrów od absolutnej biedy, praca w high-tech obok zbiorów na polach, zamknięte na głucho wille i plastikowe namioty na chodnikach. To miejsce, do którego świat przyjeżdża szukać możliwości, a znajduje z góry spisane hierarchie.

Dla kobiet Kalifornia to fałszywa obietnica: – pozorna wolność – głoszone prawa – obnoszone na pokaz możliwości.

ale reguła jest zawsze ta sama: jeśli nie nadążasz, znikasz.

Nieobecności nie są tu ciszą: to ciała, które system zostawia za sobą, nie oglądając się.

## ***Kobieta z Doliny Krzemowej – 39 lat***

Nazywają ją „stolicą innowacji”, ale Dolina Krzemowa to zamknięte lenno, w którym władza jest męska, biała albo azjatycka, inżynierska, konkurencyjna aż do obłędu.

Kobiety są tu oficjalnie mile widziane: – programy różnorodności – firmowe kodeksy etyki – panele o równości płci – uśmiechnięte zdjęcia w raportach rocznych.

Ale w salach, które się liczą, scena wygląda inaczej.

Ma dwa dyplomy, tytuł magistra, perfekcyjny angielski i wysokie kompetencje techniczne. Pracuje przy produktach cyfrowych, danych i platformach. Spędza dni na spotkaniach, na których o prawdziwych pomysłach decydują trzy osoby: dwie przy stole, jedna na ekranie.

Wymagają od niej umiejętności miękkich, mediacji i empatii. Dają jej rolę koordynującą, nie dowodzącą. Chcą, żeby była obecna, ale nie była protagonistką.

Macierzyństwo w tym systemie to anomalia logistyczna. Są świadczenia, urlopy, wsparcie, mrożenie komórek jajowych, firmowe żłobki – ale zawsze z jednym niewypowiedzianym warunkiem: nie wolno ci zwolnić.

Jeśli zajdzie w ciążę, jest postrzegana jako potencjalny problem. Jeśli nie, widzi się w niej „mężczyznę w spódnicy”, zastępowalnego jak wszyscy inni. W obu przypadkach jest narzędziem: nigdy w centrum uwagi.

Wieczorne spotkania, „awaryjne” weekendy i nocne rozmowy z Azją albo Europą nie wpływają na twoje życie prywatne. System wymaga całkowitej dyspozycyjności.

Kiedy się załamuje – wypalenie, lęk, bezsenność, kryzys sensu – odpowiedź jest zawsze ta sama: – joga – mindfulness – prywatna terapia.

Nigdy przebudowa struktury. Nigdy prawdziwy podział władzy.

Jej nieobecność nie jest fizyczna: jest symboliczna. Jest obecna w każdym procesie, ale nigdy w ostatecznym uznaniu.

Technologia sprzedaje światu narracje o wzmacnianiu pozycji kobiet. Ale głęboko w środku kobiety pozostają wyjątkami do zarządzania, a nie filarami do uznania.

### ***Migrantka z Doliny Centralnej – 28 lat***

Dolina Centralna to część Kalifornii, której turyści nie widzą i której filmy nie kręcą.

To korytarz rolniczy, który karmi pół kraju: – sady – warzywa – migdały – winnice – przetwórnice.

W tym krajobrazie migrantka jest niewidzialną siłą napędową łańcucha. Przyjeżdżają z Meksyku, z Ameryki Środkowej, z biednych społeczności bez prawdziwej alternatywy. Wiele nie ma dokumentów, inne mają dokumenty kruche, a wszystkie łączy ten sam warunek: ich istnienie zależy od tego, czy nie sprawiają problemów.

Pracuje na polach, w szklarniach i w pakowniach. Wyczerpujące zmiany, zgięte plecy, skrajny upał, pestycydy w powietrzu, subtelny i stały nadzór. Mało mówi, dużo patrzy, wszystkiego słucha.

Płaca jest niska, często poniżej realnego minimum. Nadgodziny nie zawsze są rejestrowane. Choroba nie jest opłacana: kto opuszcza pracę, zostaje zastąpiony.

Przemoc jest powszechna, ale często nikt jej nie odnotowuje: – molestowanie w pracy – szantaż seksualny – groźba utraty pracy – groźba donosu do władz.

Zgłosić to znaczy zaryzykować utratę wszystkiego. Milczeć to znaczy dalej przynosić dzieciom coś do domu.

Jej nieobecność jest instytucjonalna: nie pojawia się w oficjalnych statystykach, nie ma reprezentacji, nie uczestniczy w dyskusjach, w których decyduje się o rolnictwie, i nikt jej nie pyta, kiedy mówi się o transformacji ekologicznej czy zrównoważonych łańcuchach dostaw.

To kobieta, która dźwiga jedzenie całego narodu, nie mając prawa do miejsca w oficjalnej narracji.

Kalifornia sprzedaje się jako „zielona”, troszcząca się o środowisko, zdrowie i przyszłość. Ale na polach jej rolniczego serca kobiety pracują w warunkach, które zadają kłam każdemu hasłu.

### ***Kobieta z przemysłu wizerunku – 32 lata***

Hollywood, studia telewizyjne, platformy cyfrowe, agencje, reklama, media społecznościowe. Kalifornia zbudowała globalną gospodarkę opartą na wizerunku. W centrum tej maszyny jest kobieta używana jako powierzchnia.

Aktorka, statystka, modelka, influencerka, postać w tle. Pierwsze kryterium, według którego się ją ocenia, nie jest etyczne, kulturowe ani zawodowe: jest estetyczne.

Istnieją konkretne kategorie „ról kobiecych”: – młoda kobieta do reklam – „normalna” kobieta do kampanii rodzinnych – hiperseksualizowane ciało dla niektórych grup docelowych – uspokajająca postać dla innych.

Casting to nie tylko selekcja: to filtr kulturowy. Decyduje, kogo można pokazać, kogo można sprzedać, a kogo można odrzucić.

Wyraźne i ukryte żądania są zawsze te same: – mieścić się w określonej wadze – akceptować makijaż, retusze, modyfikacje – dostosowywać się do stereotypowych scenariuszy – nie sprzeciwiać się tym, którzy płacą.

Każda, która próbuje odmówić pewnych scen czy sytuacji, uchodzi za „trudną”. Te, które zgłaszają nadużycia albo szantaż, są izolowane, szufladkowane i często zastępowane milczeniem.

Wielkie globalne kampanie mówią o body positivity, szacunku, wzmacnianiu pozycji kobiet i inkluzywności. Ale na korytarzach biur, na castingach i na spotkaniach produkcyjnych prawdziwe kryteria pozostają staroświeckie, banalne i brutalne.

Kobieta jest tu hiperwidoczna jako obraz i niewidzialna jako wolny podmiot.

Jej nieobecność jest psychologiczna: jest odcięta od siebie, przemieniona w markę, zmuszona mierzyć swoją wartość liczbami: wyświetlenia, polubienia, obserwujący, zaangażowanie.

Za każdą idealną twarzą wydrukowaną na billboardzie stoi osoba, która często nie ma prawie żadnej kontroli nad swoim wizerunkiem.

### ***Bezdomna kobieta – 50 lat***

Kalifornia ma też jedną z największych populacji bezdomnych w Stanach Zjednoczonych.

Namioty pod wiaduktami, prowizoryczne obozowiska wzdłuż kanałów, ludzie mieszkający w samochodach, w zniszczonych kamperach i na chodnikach zamienionych w korytarze mieszkalne. Los Angeles, San Francisco, Oakland, San Diego: bieda jest wszędzie, widoczna i ignorowana.

Bezdomna kobieta jest wystawiona podwójnie: – jako biedna kobieta – jako bezbronne kobiece ciało.

Często ma za sobą historię: – czynszów nie do udźwignięcia – utraconej pracy – niszczących rozstań – przemocy domowej – nieleczonych problemów zdrowotnych – uzależnień używanych jak znieczulenie.

Noc nigdy nie jest odpoczynkiem: jest obroną. Chronić kilka rzeczy, śpiwór, torbę, dokument, wspomnienie. Opieka społeczna istnieje, ale jest: – powolna – niewystarczająca – biurokratyczna – czasem upokarzająca.

Bezdomne kobiety wymykają się dokładnym statystykom: to one się przemieszczają, zmieniają miejsca, żeby uniknąć napaści, nie chodzą do schronisk, bo się boją, nie prowadzą dzieci do służb z obawy, że zostaną im odebrane.

Jej nieobecność jest moralna: społeczeństwo ją widzi, ale nie uznaje jej za część siebie. Opisuje się ją jako problem, nigdy jako skutek wyborów politycznych i ekonomicznych.

Kalifornia, która mówi o cyfrowej inkluzji, innowacjach i zrównoważonej przyszłości, współlistnieje z kobietami, które myją włosy w publicznych fontannach, przebiegają się na parkingu, jedzą dzięki jadłodajni.

Żadna z nich nie jest „skrajnym przypadkiem”. To normalna konsekwencja modelu, który uznaje za nieuniknione staczanie się tych, którzy nie radzą sobie z kosztami życia.

## ***Epilog – Kalifornia***

Kalifornia jest witryną świata i jednocześnie jego zapleczem.

Na zewnątrz wystawia: – technologię– kino– muzykę–  
uniwersytet– innowacje

Od środka ukrywa: – wyzysk w rolnictwie – nierówności na rynku  
nieruchomości – skrajną niepewność – uzależnienia –  
strukturalną bezdomność. Kobiety nie są tu nieobecne z powodu  
ich braku. Są nieobecne z powodu przesytu obrazów.

Kiedy jakieś miejsce bez przerwy i wszędzie pokazuje kobiece ciała  
– ekrany, billboardy, filmy, reklamy, strumienie w mediach  
społecznościowych – daje światu złudzenie, że kobiety są w  
centrum.

W rzeczywistości: – kobieta pracująca w technologii niewiele  
rządzi – migrantki na polach nikt nie słucha – profesjonalistka od  
wizerunku jest wciśnięta w gotowe role – bezdomną kobietę omija  
się wzrokiem.

Kalifornia dowodzi, że nieobecność to nie tylko pustka: może być  
nadreprezentacją bez prawdziwej władzy.

To stan, w którym kobiety pojawiają się wszędzie, ale są uznawane  
dużo mniej, niż świat sobie wyobraża.

### ***Refleksja – Kalifornia***

Na Alasce nieobecność to mróz. W Alabamie – historia. W  
Arizonie – granica. W Kalifornii – makijaż.

Tutaj nieobecność kobiet maskują: – postępowe hasła – poprawne  
kampanie reklamowe – konferencje o równości – motywacyjny  
storytelling.

Mówimy o „inkluzji”, ale prawdziwą inkluzję mierzy się trzema  
konkretnymi parametrami: – kto decyduje – kto zarabia więcej –  
kogo stać na to, by powiedzieć nie.

W tych trzech punktach kalifornijskie kobiety – we wszystkich klasach społecznych – zbyt często zostają w tyle:

– menedżerkę się toleruje, dopóki nie żąda pełnej władzy – migrantkę się zostawia w spokoju, dopóki znosi ciężką pracę bez protestu – profesjonalistkę od wizerunku się wykorzystuje, dopóki odpowiada grupie docelowej – bezdomną kobietę się ignoruje, dopóki nie przeszkadza w ruchu ani w porządku publicznym

Świat patrzy na Kalifornię, żeby zrozumieć przyszłość. Ale gdyby naprawdę spojrział na kobiety, które utrzymują ją na powierzchni, odkryłby prostą prawdę:

***Nie ma przyszłości w miejscu, które uznaje za normalną nieobecność***

tych, którzy je podtrzymują.

Dlatego Kalifornia jest w tym tomie. Nie jako mit, nie jako pocztówka, nie jako wróg. Jako dowód.

Jedna ze światowych stolic wyobraźni, gdzie najtrudniej zobaczyć wciąż to samo: prawdziwe życie kobiet, które nigdy nie trafiają na ekran.

## **KOLORADO**

Kolorado to stan, który udaje prosty, ale taki nie jest. To Ameryka żyjąca między dwiema skrajnościami:

– góry, które wydają się ochroną – miasta, które działają jak laboratoria społeczne

To obszar czysty, uporządkowany, powierzchownie postępowy, ale z bardzo wyraźnymi sprzecznościami: zaporowe koszty życia,

niewidzialna segregacja, praca techniczna, osiedla zamknięte i ciche wykluczenie społeczne.

Tutaj kobiety nie znikają z powodu jawnej przemocy. Znikają z powodu nadmiaru porządku, presji kulturowej i duszących oczekiwań społecznych.

Kolorado to stan, który dużo wymaga, a mało oddaje. Kobiety, które tu żyją, utrzymują trudną równowagę:

– praca techniczna i umysłowa – rodziny wymagające całkowitej obecności – społeczności, które obserwują i oceniają – zdrowie psychiczne bez miejsca – izolacja geograficzna przebrana za „jakość życia”.

To stan, w którym nie upadasz, bo ktoś cię popchnie. Upadasz, bo nikt nie widzi, że się ześlizgujesz.

### ***Kobieta z Denver – 35 lat***

Denver jest nowoczesne, funkcjonalne i czyste. Wszyscy mówią o technologii, startupach i jakości życia. Ale w praktyce to miasto, które dużo wymaga od kobiet, a w zamian daje niezwykle mało.

Jest profesjonalistką: – dyplomy – kompetencje techniczne – stała praca – średnio-wysoka pensja.

Wszystko jest idealne, na papierze.

Żyje pod ciągłą presją: wyniki, cele, spotkania, zarządzanie projektami, mierzalne rezultaty co tydzień.

Firmy mówią o równowadze między pracą a życiem. Ale wymagają ciągłej dyspozycyjności.

Ma drogie mieszkanie, pełny grafik i drobiazgowo zorganizowane życie. Nie upada z biedy: upada z wyczerpania.

Jej nieobecność jest mentalna. Zawsze pracuje, zawsze myśli, trzyma wszystko razem – dopóki coś nie pęknie. A kiedy pęka, dzieje się to w ciszy.

### ***Nauczycielka z gór – 42 lata***

Poza Denver i Boulder Kolorado zmienia twarz. Góry, małe społeczności, miasteczka, w których zimą zostaje niewielu, a latem turyści zjeżdżają robić zdjęcia.

Nauczycielka jest tu filarem okolicy: – uczy – prowadzi – towarzyszy – zna wszystkich – jest wsparciem psychologicznym – jest dla dzieci rozszerzoną rodziną.

Żyje wśród śniegu, odciętych dróg i małych szkół. Pracy ma ogromnie dużo, pensję ograniczoną.

Jej nieobecność jest instytucjonalna: podtrzymuje społeczność, ale nigdy nie uczestniczy w decyzjach politycznych. To kobieta, która pracuje, by utrzymać na powierzchni całą miejscowość, nie będąc docenioną.

### ***Kobieta z rezerwatów rdzennych mieszkańców – 30 lat***

„Niewidzialna” część Kolorado to jego rezerваты. Obszary, gdzie historia waży więcej niż nowoczesność.

Rdzenne kobiety doświadczają trzech poziomów ucisku: – strukturalnej biedy – wewnętrznej kultury patriarchalnej – zewnętrznego porzucenia przez instytucje.

Często pracuje w programach socjalnych, szkołach plemiennych i ubogich ośrodkach zdrowia. Walczy z uzależnieniami, depresją, przemocą domową i całkowicie izolującą odległością geograficzną.

Jej nieobecność jest kulturowa: nowoczesne Kolorado nie uważa jej za część swojej tożsamości, a jej własna społeczność nie zawsze uznaje jej prawo do tego, by wymyślić się na nowo. To kobieta, która podtrzymuje cały naród, podczas gdy świat ją ignoruje.

### ***Kobieta z ośrodka narciarskiego – 27 lat***

Aspen, Vail, Breckenridge, Telluride. Luksus, pieniądze, sporty zimowe, gospodarka sezonowa.

Kobieta, która tu pracuje – kelnerka, barmanka, operatorka wyciągu, recepcjonistka, instruktorka – żyje w podwójnym świecie:

– niezwykle bogaci turyści – pracownicy, którzy wszystko dźwigają

Pracuje bez stałych godzin, za niską płacę i często na niepewnych warunkach. Dzieli małe pokoje z innymi pracownikami, żeby było ją stać na czynsz.

Jest otoczona bogactwem, a mimo to pozostaje odizolowana. Musi radzić sobie z aroganckimi turystami, sezonowymi kierownikami i ciągłymi żądaniami.

Jej nieobecność jest ekonomiczna: wytwarza bogactwo dla wszystkich, ale sama pozostaje biedna.

### ***Epilog – Kolorado***

Kolorado to stan, który wydaje się idealny, ale taki nie jest. Jest uporządkowane, zamożne, nowoczesne i społecznie zrównoważone – na papierze. Ale jego kobiety żyją na trzech liniach uskoku:

– presja psychiczna – izolacja terytorialna – nieobecność instytucji

Nie ma skandali, masowych aktów przemocy ani chaosu. I właśnie dlatego ich nieobecność jest jeszcze cięższa.

Tutaj kobiety nie upadają, bo ktoś je popycha. Upadają, bo wszyscy zakładają, że wytrzymają.

## ***Refleksja – Kolorado***

Siłą kobiet z Kolorado jest to, że nie robią hałasu. I nie trafiają do wiadomości.

To subtelna, nowoczesna, inteligentna nieobecność. Trudna do rozpoznania, łatwa do zignorowania.

Kolorado uczy prostej rzeczy: nieobecność to nie tylko bieda, przemoc, zimno czy zamknięcie. Może być też uporządkowana. Może być też dobrobytem. Może być też oczekiwaniem.

Kiedy kobietę przytłacza nie chaos, lecz „wszystko działa dobrze”, wtedy problemu nie widać – ale jest prawdziwy.

I dlatego Kolorado też tu jest: żeby przypominać, że kobieca nieobecność nie ma tylko jednej twarzy. Ma ich pięćdziesiąt. Po jednej na każdy stan.

## **CONNECTICUT**

Connecticut to stan, który wielu sobie wyobraża, ale niewielu naprawdę zna. Z zewnątrz jest elegancki: nienaganne miasteczka, czyste przedmieścia, doskonałe szkoły, droga benzyna, schludne chodniki, domy z idealnymi trawnikami. To „wysoka” strona Ameryki, ta, która nigdy nie podnosi głosu, ta, która organizuje, rządzi i zarządza.

Tutaj wszystko wydaje się w równowadze, ale ta równowaga nie jest naturalna: to ciągła presja, nieustanne podtrzymywanie przyzwoitości, pozorów, oczekiwań.

Connecticut nie wymaga, żeby błyszczeć. Wymaga, żeby nigdy się nie mylić.

To stan, w którym można dobrze żyć tylko wtedy, gdy prawdziwe są trzy rzeczy: – rywalizacja społeczna – kontrola emocji – ciche osądy społeczności

Kobiety nie znikają tu z powodu biedy czy jawnej przemocy. Znikają z powodu wymuszonego przystosowania. Uprzejme zniknięcie: bez krzyku, bez skandalu, bez wiadomości w gazetach.

To wyrafinowana nieobecność, ale mimo wszystko nieobecność.

### ***Urzędniczka z biura ubezpieczeń – 40 lat***

Connecticut jest stolicą ubezpieczeń Stanów Zjednoczonych. Hartford ogłasza to wszędzie: „Insurance Capital of the World”.

Za tymi hasłami stoją tysiące kobiet siedzących przed niekończącymi się ekranami: – reklamacje – polisy – algorytmy ryzyka – cyfrowe dokumenty – procedury – wskaźniki.

Ich praca jest precyzyjna, techniczna i drobiazgowo nadzorowana. Każdy błąd kosztuje firmę pieniądze, a je czas. Każda decyzja musi być uzasadniona, udokumentowana, zatwierdzona i zwalidowana.

Dzień to łańcuch kontroli.

Ona trzyma to wszystko razem, bo system oczekuje, że będzie nienaganna. A pensja jest dobra: znakomita w porównaniu z innymi miejscami.

Ale koszt emocjonalny jest niezwykle wysoki.

Kobiety tutaj się nie załamują. Opróżniają się powoli, bez hałasu. Bo nikt w tych biurach nie pyta, jak się czujesz. Pytają tylko: „Jak ci idzie?”

Jej nieobecność jest mentalna: obecna każdego dnia, ale odcięta od siebie.

### ***Kobieta z bogatych przedmieść – 45 lat***

Zamożna część Connecticut to osobny świat. Ogromne domy, ciche SUV-y, idealne ogrody, prywatne szkoły, odwieczne normy społeczne.

Tutaj kobiety nie zawsze pracują „na zewnątrz”: pracują wewnątrz systemu społecznego.

Jej rola jest kulturowa: – nienaganna matka – dopasowana żona – obecność w komitetach – prowadzenie domu – zaplanowany wolontariat – idealny wizerunek.

Jeśli się rozpada, nie może tego powiedzieć. Jeśli jest nieszczęśliwa, nie może tego okazać. Jeśli jest sama, nikt nie może się o tym dowiedzieć.

Jej nieobecność to znak tożsamości: znika za rolą, którą musi uosabiać.

W miejscu, gdzie „wszystko jest idealne”, nie może sobie pozwolić na to, by pokazać jakiegokolwiek pęknięcia.

To eleganckie więzienie, ale mimo wszystko więzienie.

### ***Kobieta z elitarnej uczelni – 34 lata***

New Haven to siedziba jednego z najbardziej prestiżowych uniwersytetów na świecie: Yale.

Środowisko akademickie wydaje się postępowe, nowoczesne i uważne. Ale pod powierzchnią kryją się sztywność, zaciekle rywalizacja i niebotyczne oczekiwania.

Badaczka żyje w paradoksie: – jest wykształcona – jest kompetentna – jest przygotowana – jest kluczowa dla produkcji kultury.

ale zarazem system ją miażdży.

Publikacje, konferencje, granty, artykuły, mentoring, dydaktyka, relacje wewnętrzne. Nieustanny wysiłek, który przenika życie, umysł i ciało.

Koleżanki często są rywalkami. Koledzy wciąż dominują na historycznych katedrach.

Jej nieobecność jest instytucjonalna: wiedza, którą wytwarza, podtrzymuje uniwersytet, ale jej kariera posuwa się wolniej, niepewniej, bardziej w zawieszeniu.

Wiele wytrzymuje. Wiele odchodzi.

Yale pozostaje idealne. One nie.

Kobieta z dzielnic mieszanych – 31

## **lat**

Poza bogatymi przedmieściami i daleko od elitarnych uczelni leży prawdziwe Connecticut: niskie płace, wysokie czynsze, niepewna praca, mieszane społeczności i system społeczny, który nie zawsze działa.

Kobiety są tu ukrytym filarem: pracują w supermarketach, szkołach publicznych, domach opieki, pomocy społecznej, małych firmach i podstawowej opiece zdrowotnej. Wszystko trzymają razem: – źle opłacana praca – dzieci – dalsza rodzina – powolna komunikacja publiczna – ciągły stres.

Jej nieobecność jest ekonomiczna: dużo pracuje, mało zarabia i nie robi postępów.

I żyje w rażącym paradoksie: mieszka w jednym z najbogatszych stanów Ameryki, nie czując się częścią bogactwa.

Bo bogactwo jest tu prywatne, nie społeczne.

### ***Epilog – Connecticut***

Connecticut wydaje się „bezpieczny”, „czysty”, „stabilny”. I pod pewnymi względami taki jest.

Ale jest też jednym z miejsc, w których kobiety najłatwiej znikają bez dźwięku. Nie z powodu przemocy, nie z powodu głodu, nie z powodu zimna. Z powodu oczekiwań społecznych.

To nieobecność o gładkiej powierzchni: bez chaosu, bez krzyku, bez robiących wrażenie statystyk. Tylko życia zmiażdżone wysokimi wymaganiami i niskimi nagrodami.

Nikt tego nie zauważa, bo wszystko działa. I właśnie to czyni to niebezpiecznym.

### ***Refleksja – Connecticut***

W wielu stanach nieobecność jest zauważalna. Tutaj jest dyskretna. Uprzejma. „Normalna”. Connecticut pokazuje, że kobieta może mieć: dom, pracę, dochód, bezpieczną dzielnicę, szanowaną społeczność.

### ***i jednocześnie być zupełnie niewidzialna jako osoba.***

Społeczna perfekcja to cienkie ostrze. Każe ci się uśmiechać, podczas gdy odbiera ci przestrzeń.

Connecticut uczy, że nieobecność może też wynikać z nadmiaru porządku, nadmiaru przyzwoitości, nadmiaru kontroli.

I że żadne społeczeństwo nie jest naprawdę rozwinięte, dopóki nie pozwala kobietom być obecnymi bez konieczności bycia idealnymi.

## **DELAWARE**

Delaware to śliski stan. Mały, cichy i z napiętym budżetem. Wydaje się drobnym szczegółem, ale jest istotną częścią mechanizmu Ameryki.

Nie ma tu gigantycznych metropolii, pustyń, gór ani olśniewających luster. Jest ukryta gospodarka, dyskretna polityka, biurokracja, która po cichu przesuwają miliardy.

Delaware to miejsce, gdzie Ameryka rejestruje swoje firmy, przechowuje pieniądze i rozlicza rachunki. Miejsce pośrodku: nie za bogate, nie za biedne, nie za głośne.

To idealna szara strefa.

W Delaware kobieca nieobecność nie wybucha. Wyparowuje. Powoli, równomiernie, niewidoczna w liczbach i w debacie publicznej. Tutaj kobiety znikają z powodu cichego przeciążenia, z powodu prac zbyt drobnych, by je brać pod uwagę, z powodu ról, które nigdy nie wchodzi do narodowej narracji.

### ***Urzędniczka z biura korporacyjnego – 38 lat***

Delaware jest prawną siedzibą ponad miliona amerykańskich firm. Archiwizuje dokumenty spółek, fuzje, trusty, zmiany właścicielskie, dokumenty podatkowe i transakcje warte miliardy.

Świat myśli, że tę pracę wykonują wielcy menedżerowie. Wykonują ją kobiety siedzące w boksach bez okien, obsługujące niekończące

się strumienie dokumentów.

Pracuje w uporządkowanym biurze, pełnym zasad, procedur i kontroli. Prawie nigdy się nie myli, bo błąd może kosztować miliony. Jest szybka, precyzyjna i niewidoczna.

Jej dzień składa się z: formularzy, podpisów, protokołów, kontroli, maili, list kontrolnych.

Jej praca podtrzymuje cały system gospodarczy. Ale nikt jej nie widzi. Nikt jej nie docenia. Nikt o niej nie mówi.

Jej nieobecność jest strukturalna: utrzymuje na powierzchni papierowe imperium, nigdy nie pojawiając się w narracjach władzy.

### ***Kobieta z magazynów i logistyki – 33 lata***

Delaware to nie tylko biurokracja. To także port, ruch towarowy, magazyny i łańcuchy dostaw.

Kobieta pracuje tu w: – chłodniach– sortowniach– magazynach przemysłowych– firmach spożywczych– nocnej koordynacji. Ciężkie zmiany, szybkie tempo, zgięte plecy, chłodne powietrze. Powtarzalne ruchy, ryzyko urazów, stały nadzór.

Jej pensja jest niska. Jej umowa często niepewna. Jej życie bez marginesu.

Jej nieobecność jest ekonomiczna: ciężko pracuje, mało zarabia i nigdy się nie rozwija.

To kobieta, która dźwiga ukrytą część handlu, podczas gdy świat patrzy tylko na wielkie miasta.

## ***Kobieta z podstawowej opieki zdrowotnej – 47 lat***

Delaware nie ma gigantycznego systemu ochrony zdrowia. Ma minimalną i niezwykle kruchą sieć podstawowej opieki.

Kobieta podtrzymuje tu: – domy spokojnej starości– małe gabinety lekarskie– przychodnie społeczne– opiekę domową– wsparcie dla samotnych seniorów– zapomnianych pacjentów przewlekłe chorych.

Jej praca jest emocjonalna, fizyczna i nieustanna. Widzi więcej cierpienia, niż może znieść. Pracuje w nadgodzinach bez uznania. Zarabia mniej, niż na to zasługuje.

Jej nieobecność jest społeczna: zastępuje państwo tam, gdzie państwo nie sięga, ale nikt nie uważa jej za niezbędną część systemu.

Kiedy jej zabraknie, wszystko się rozpada. Ale kiedy pracuje, nikt tego nie zauważa.

Kobieta z ubogiej dzielnicy – 29

## ***lat***

Delaware ma też swoje kruche części: dzielnice naznaczone biedą, przemocą domową, narkotykami i zaniedbaniem. Kobiety mierzą się tu z trzema problemami naraz: niepewnym zatrudnieniem, rosnącymi kosztami życia i słabą ochroną socjalną.

Pracuje jako kasjerka, sprzątaczką, pracownica sezonowa, opiekunka do dzieci i pomoc kuchenna. Pierze, sprząta, opiekuje się cudzymi domami i je urządza.

Jej dzień to gonitwa: dzieci, autobusy, zmiany, zakupy, dom, problemy.

Jej nieobecność jest miejska: żyje w mieście, które mówi o odrodzeniu, ale zostawia w tyle właśnie te kobiety, które w najgorszych chwilach utrzymują je na powierzchni.

### ***Epilog – Delaware***

Delaware nie ma dramatu Kalifornii, mrozów Alaski ani surowości Południa.

Jest w nim coś innego: normalność jako forma niewidzialności.

Tutaj praca kobiet nie robi hałasu, bo jest: – techniczna – powtarzalna – niezbędna – cicha – mało narracyjna.

Nigdy nie ma wybuchu. Jest nieustanne zużycie.

Kobiety nie trafiają na pierwsze strony gazet. Nie protestują masowo. Nie domagają się przestrzeni. Po prostu wytrzymują.

I właśnie to czyni je niewidzialnymi.

### ***Refleksja – Delaware***

Delaware pokazuje, że kobieca nieobecność może przybrać jeszcze bardziej podstępny formę: doskonałe zarządzanie ciszą. Tutaj kobiety są siłą napędową: – biurokracji – koordynacji – podstawowej opieki zdrowotnej – minimalnych usług. a jednak nigdy nie pojawiają się w opowieściach Ameryki. Nieobecność to nie hałas. To tło. A Delaware jest tego dowodem: miejscem, przez które kraj zawsze przechodzi, ale kobieta zawsze stoi w miejscu.

*Ferdinando Frega*